Nr. 19. Warszawa, dnia 13 (1) Maja 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

OSTRE STARCIE.

Od lat wielu, może nawet od tej epoki, kiedy Bismark nie był jeszcze wszechwładnym panem woli sejmu, rząd pruski nie spotkał takiego oporu w przedstawicielach narodu, a rząd niemiecki nie starł się z nimi tak ostro nigdy, jak obecnie. Uwzględnić tu bowiem należy nietylko natężenie walki, ale jej przedmiot. Sejm niemiecki przeciwstawiał się rządowi niejednokrotnie, a raz nawet (w sprawie siedmiolecia) dla pokonania jego większości wzywano na pomoc papieża, ale w kwestyach wojskowych ulegał stale. Dość było, gdy Bismark namalował na wschodzie lub zachodzie widnokręgu „chmurę“ polityczną, dość, gdy Moltke stwierdził potrzebę pomnożenia armii, natychmiast znajdowała się odpowiednia ilość „patryotów“ do uchwalenia wszelkich żądań w tym względzie. Rosła też ciągle siła zbrojna, jak na drożdżach (od r. 1872 wydatkowano na nią $12\frac{1}{2}$ miliarda marek), a z wyjątkiem postępowców i społeczno-demokratów żadne stronnictwo nie śmiało rozwojowi jej położyć tamy. Zdawało się Wilhelmowi II i Capriviemu, że tę powolność sejmu zdołają również wyzyskać. Wniesiono też projekt reformy wojskowej, który za skrócenie służby do lat dwu (pozostawione zresztą uznaniu władz) chciał pomnożyć armię podczas pokoju o 84,000 ludzi rocznie. Odesłany do komisyi, powrócił z niej wynicowany krytyką i zasądzony do odrzucenia. Uznano w nim zbytek i ciężar nieusprawiedliwiony żadną potrzebą, żadną „chmurą,“ który tem bardziej wystąpił nie w porę, że gospodarka finansowa wykazuje już po raz trzeci niedobór roczny przeszło 50 milionów marek, a naród upada pod brzemieniem podatków. Kanclerz spróbował targów zwłaszcza z partyą centrum, które jednak nie zdołały w niej zyskać tyle głosów, ile brakło do większości. Jeden z przewódców tej grupy, bar. Huene, który już nieraz wyświadczał rządowi miłe usługi, wypracował zmieniony nieco, skromniejszy projekt, redukujący liczbę przydatku wojskowego do 70,000 ludzi. Caprivi zgodził się na tę cyfrę, ale nie zgodziło się na nią centrum, z którego za Huenem oświadczyło się zaledwie kilku przyjaciół. Gdy już ta ostatnia karta zawiodła, kanclerz wyjął z czerwonej teki przygotowane na ten wypadek rozporządzenie cesarskie i rozwiązał sejm, naznaczywszy nowe wybory na 15 czerwca. Odbędą się one pod hasłem wniosku Huenego. Czy naród zawierzy swemu rządowi i uzna istotną konieczność tak znacznego powiększenia armii, czy też podzieli przeciwny pogląd opozycyi? Trudno przewidzieć, gdyż do zawiłości samej sprawy przybywa jednocześnie rozkład wewnętrzny stronnictw. Zaznaczaliśmy już przy wielu wypadkach, że cyfry obrachowań wojskowych są tak elastyczne, że niepodobna określić ich właściwego znaczenia. Zapomocą tych samych cyfr Caprivi dowodzi, że Francya posiada wojska więcej, niż Niemcy, a Richter, że Niemcy posiadają więcej, niż Francya. Nie kusimy się zatem o ścisłe określenie stosunku liczebnego sił zbrojnych, pomimo że on w rozprawach sejmowych grał główną rolę. O ile wszakże z po za sofistycznych wywodów przegląda prawda i o ile wskazują pewne wynurzenia kanclerza niemieckiego, spór obraca się około następującej osi: Niemcy pokonały Francyę przewagą ilościową armii, ponieważ zaś obecnie siły obu państw wyrównały się, przeto Niemcy chcą posunąć się naprzód, ażeby wytworzyć taką proporcyę, w jakiej znajdowały się przed ostatnią wojną. Oto jest kość niezgody rządu z opozycyą.

Jak rzekliśmy, kość ta wywołała rozkład wewnętrzny w stronnictwach sejmowych. Ulegli mu przedewszystkiem postępowcy i centrum. Pierwsi przy głosowaniu rozłamali się na dwie grupy: jedna, nieco większa, poszła za nieprzejednanym Richterem, druga za przejednanym i gotowym do ustępstw Rickertem. Dwa te sprzeczne prądy oddawna nurtują w łonie partyi postępowej i grożą jej rozkładem, który ledwie zdołano dotąd zażegnać. Czy zgoda przetrwa wybory? Wątpimy, a w każdym razie rozstrój osłabi energię agitacyjną. Bo jeżeli ich hasłem będzie wzmocnienie armii według projektu Huenego, to przecież w imię oporu przeciw niemu nie mogą być wybierani zarówno zwolennicy Richtera, który go odrzuca, jak Rickerta, Hänela i Bambergera, którzy go przyjmują. Kandydaci partyi muszą mieć przecie wspólny program.

W podobnem położeniu znajdują się członkowie centrum. Wprawdzie tylko 8 czy 10 z nich głosowało za rządem, ale w tej różnorodnej gromadzie, utrzymywanej sztucznie zabiegami Windhorsta, wydobywają się na wierzch jeszcze inne sprzeczności, które ją rozdzierają: demokraci chcą się odczepić od arystokratów, wolnomyślniejsi od ultramontanów, chłopi od posiadaczów większej własności ziemskiej. Czyż więc wynajdą dla siebie taką chorągiew wyborczą, któraby ich połączyła? Czy poplecznicy rządu ustąpią dobrowolnie mandatów jego przeciwnikom? Wogóle jeżeli w grupach parlamentarnych sejmu niemieckiego dawno już objawiał się rozstrój, to teraz dojrzał on zupełnie i wytworzył chaos.

Kiedy Huene groził, że po odrzuceniu projektu i rozwiązaniu parlamentu wybuchną ostre walki wewnętrzne, Richter wydrwił go i zapytał szyderczo, o jakich walkach pan baron myśli? Zostanie wybrany nowy sejm, który oprze się rządowi — i kwita. Tymczasem same wybory będą bardzo ciężkim porodem i wydadzą na świat potomstwo niewiadomej natury. Nad-

to cesarz w przemowie do generałów oświadczył wyraźnie, że nie zrzecze się zamiaru powiększenia armii, co znaczy, że nie ugnie się pod wolą przyszłego sejmu. Jakich użyje środków w starciu — nie odgadujemy, ale wiemy, że będzie chciał również „zerschmettern" i że znajdzie odwagę do zapasów z parlamentem ten, kto ją posiadał do „zdruzgotania" Bismarka. Nadchodzący tedy moment jest dla Niemiec bardzo poważny.

Z GALICYI.

Lwów, 28 kwietnia.

Cicho, bez żadnych uroczystości wstępnych zgromadził się dziś sejm nasz, ażeby podjąć na nowo przerwany w jesieni wątek rozpoczętych obrad. Miało to dokończenie nastąpić wcześniej. Zapewniano w Wiedniu, że najpóźniej w połowie stycznia zbiorą się ojcowie narodu na dokończenie prac swoich. Nawet pewien minister oświadczył przy świadkach, że „daje głowę" za sesyę styczniową. Kiedy zaś później nastąpiła zwłoka, ten sam minister „dawał głowę" za termin lutowy. Minął styczeń, minął luty i marzec bez sejmu, głowa ministra została na swojem zwykłem miejscu i nie było nikogo, ktoby jak Shylok upominał się uporne o spłacenie długu krwawego... Nie idzie tu o głowę ministra, ale o sejm. To nieregularne zwoływanie reprezentacyj krajów koronnych, ta niepewność, kiedy i na jak długo będą wezwane, ten dziwny stan rzeczy, że najbardziej interesowany czynnik, Wydział krajowy, nigdy naprzód nie jest o terminie zawiadomiony, ale zazwyczaj dopiero z gazet o nim się dowiaduje — wszystko to jest źródłem trudności i ilustracyą nieporządku w spełnianiu obowiązków ciał reprezentacyjnych. I musiało już być tego za dużo, skoro po raz pierwszy od czasu istnienia sejmów zebrali się marszałkowie, ażeby wspólnie radzić nad sposobami zapobieżenia złemu. Wynik ich narad jest znany, zgodzili się wszyscy na stałe sejmowanie w terminie grudniowym, co najmniej przez siedem tygodni. Gdyby sejm zbierał się co rok w połowie grudnia i pracował mniej więcej do połowy lutego, mógłby bardzo dobrze i budżet uchwalić i wszelkie bieżące sprawy załatwić i czynność swą ustawodawczą przeprowadzić.

Czy rząd się na to zgodzi? Wprawdzie lekkiem sercem przyrzeka, ale „między ustami a brzegiem puhara" znajdzie się zawsze przeszkoda. Rada państwa zanadto się rozgada i rozkłóci — zajdzie niespodzianka jaka, znowu nakażą rządowi pisać program, którego nikt na seryo nie weźmie, ale który wiele czasu zabierze i znowu mijać będą bez skutku miesiące, na sejm wyznaczone. Dlatego najlepiej byłoby, żeby termin zwoływania ciał ustawodawczych był raz na zawsze ustalony, podobnie jak np. we Francyi. Zachodzi tu jednak kwestya dość delikatnej natury. Powiadają, że skoro zwoływanie ciał ustawodawczych jest według obecnej konstytucyi przywilejem korony, to oznaczenie terminu byłoby jej ograniczeniem. W takiem powoływaniu się rządu „na prerogatywy korony" brzmi zawsze nieszczerość: mówi się o koronie, a ma się na celu ministeryum, któremu czasem mógłby być niedogodnym taki obowiązujący termin.

Jest w naszem ustawodawstwie kilka spraw, które nigdy nie schodzą z porządku dziennego i nie zejdą, póki nie będzie usunięta tkwiąca w nich nierówność wymiaru praw i obowiązków. Weźmy np. naszą ordynacyę wyborczą: jest ona już dzisiaj jakimś średniowiecznym zabytkiem, który w całej Europie nie ma sobie podobnego, a który tchnie takim duchem kastowym, że nie odpowiada nawet ustrojowi naszego społeczeństwa. Gdy runie pod naciskiem z zewnątrz, może niejedno dobre pod gruzami swemi pogrzebać — gdyby zaś ręką ten kraj miłującą wzięto się do naprawy złego, możnaby się spodziewać, iż to konieczne przeobrażenie nastąpi bez szkody dla najwyższych naszych interesów. Na razie upadł wniosek Teliszewskiego w tej sprawie z kretesem. Tak samo ma się rzecz z usunięciem rażących nierówności w rozkładzie ciężarów publicznych. Tę nierówność co do szkół i dróg włościaństwo nasze już dziś nietylko odczuwa, jak wszyscy płacący podatek po nad słuszność — ono ją już rozumie i głośno się domaga jej usunięcia, a w takich razach nigdy dosyć ostrzegać nie można przed zwłoką w naprawie krzywdy. Wreszcie kwestya nad kwestyami: reforma gminna, podjęta nie ze stanowiska wymagań policyi w gminach, ale w celu podniesienia i zespolenia sił społecznych na wsi dla pospolitego dobra. Nie pomoże obchodzenie tej sprawy w kółko, nie pomoże odraczanie jej z roku na rok, z sesyi na sesyę — staje ona przed nami coraz natarczywiej, jak tego dowodzi wniosek Potoczka i jego silny wśród włościaństwa oddźwięk.

Poważną liczbę przedstawień Wydziału krajowego zastaną posłowie na swych pulpitach — nie będzie jednak wniesioną, jak się dowiadujemy, reforma ustawy gminnej. Jeżeliby zaś Wydział krajowy — czego jeszcze nie chcemy przypuszczać — miał trwać przy opracowanym w jego biurach projekcie okręgów policyjnych, w takim razie lepiej uczyni, jeżeli go nie wniesie. Inicyatywa poselska, idąca w kierunku zeszłorocznego wniosku posła Potoczka, lepiej się tu krajowi przysłużyć może. Również nie wnosi Wydział krajowy projektu reformy ustawy drogowej, chociaż opracowany przezeń materyał statystyczny tak jaskrawo ilustruje nierówność obciążenia gmin a obszarów dworskich, iż wydaje się wręcz niepodobieństwem, żeby ten stan rzeczy mógł się dłużej utrzymać.

Poseł dr. Rutowski, poparty przez klub lewicy, wnosi do sejmu kwestyę utworzenia gminy zbiorowej (zwanej przez niego „okręgową") a to od razu pod postacią wykończonej w szczegółach i w paragrafy ujętej ustawy. Nie narusza on indywidualności ani gminy jednostkowej, ani obszaru dworskiego. W sprawach zawiadywania majątkiem pozostaną nienaruszone obecnie istniejące stosunki prawne. Nowa instytucya gminy zbiorowej ma tylko kojarzyć pewną ilość terytoryalnie do siebie zbliżonych gmin jednostkowych i obszarów dworskich (8—10 z ludnością 5—6,000 dusz) w zbiorową jednostkę administracyjną dla tem skuteczniejszego wykonywania połączonemi siłami dwóch najważniejszych czynności, do których zalicza mianowicie policyę miejscową i współdziałanie z władzami państwowemi w sprawach wojskowych, podatkowych, sanitarnych itd.

Zwierzchność gminy zbiorowej miałaby także rozpoznawać wykroczenia przeciwko przepisom policyi miejscowej, ile one nie

---

4)

RROLIS.

ŚMIESZNA DOLA.

Sylwetki.

XVIII. O uczuciomierzu.

Pewnego razu stary bramin powracał pod wieczór do domu; a ponieważ ze wszystkich objawów życia umiał wysnuwać mądre wnioski, więc idąc badał szmery listków, ruchy owadów, loty ptasząt. O zmroku wchodząc do miasta, ujrzał pod ubogim namiotem dwoje dzieci. Niepostrzeżony zaczął przysłuchiwać się ich rozmowie. Mała dziewczka wołała płaczliwym głosem, że jest głodną, a starszy chłopak cieszył ją, że wkrótce powróci matka. Jakoż w tej chwili nadeszła blada, chwiejąca się, wydobyła z zanadrza dwa placki i podała je pisklętom. Dziewczka rzuciła się na pokarm łakomie, chłopak zaś przełamał placek na dwoje, jedną połowę skrycie wsunął do kąta, drugą chciał podzielić się z matką, a gdy odmówiła, jął zajadać.

Bramina zaciekawiło jego postępowanie, postanowił więc przyjść nazajutrz i dowiedzieć się od chłopca, czy mniej był głodny od dziewczki.

Jakoż o południu wyszedł z miasta i skierował się ku szopce. Zbliżył się cicho i znowu widzi prawie to samo: dziewczka płacze, a chłopak ją cieszy... Wtem, wydobył z kąta pół placka i podał go siostrze. Porwała chciwie, lecz w tejże chwili zwracając placek, rzekła:

— To twój.

— Nie mój, bom nie głodny.

— Ja nie chcę już.

— I ja nie chcę.

Placek leżał na ziemi między dziećmi, żadne go nie tknęło.

— Jak to dobrze — pomyślał bramin — dzięki tej okruszynie dziewczka do wieczora żadnej łzy nie uroni.

A wracając do domu, rozmyślał o cnotach i odgadł, że one się rodzą z uczuć. Dalej wpadł na myśl, że uczucia ludzkie bardzo delikatnym przyrządem możnaby mierzyć jak ciepło.

Postanowił tedy zrobić uczuciomierz. Do szklanej rurki wlał kilka łez sierocych i poszedł z tem pod namiot. Przyłożył rurkę do piersi chłopaka a gdy łza zakipiała, oznaczył kres, do którego podniosła się liczbą 100. Dalej wyszukał sercową oraz rozumną macochę i uczucie jej dla pasierbów oznaczył — zerem. Poczem podzielił stopnie w górę i na dół.

Chcąc zaś znaleźć punkt, przy którym łza lodowacieje, chodził ze swym przyrządem po mieście, wyszukiwał znanych łotrów i przykładał do ich piersi uczuciomierz: łza nie lodowaciała. Wywnioskował, że taki punkt w przyrodzie nie istnieje wcale i zaniechał badań.

Tymczasem o mądrym wynalazku szerzył się rozgłos. Przychodzili bogaci i biedni, mądrzy i głupi; każdy chciał wiedzieć, jak wiele ma uczuć, gdyż bez przyrządu o takiej zagmatwanej rzeczy trudno sądzić.

Wreszcie przybyła pewna niewiasta, która życie całe spędziła w świątyni. Wiadomo było, że jest nabożną, o cnotliwości zaś jej nikt nie śmiał wątpić. Przyszła chociaż wiedziała, że oddając swe życie służbie bożej, uświęciła uczucie do najwyższego stopnia, że brzydząc się błędami bliźnich, zasłużyła na najwyższą w niebie nagrodę. Sama przeto nie potrzebowała przekonywać się o mierze swych uczuć, natomiast ku zbudowaniu bliźnich chciała, aby wiedzieli o tem.

Dotknęła przyrządu i w jednej chwili... łza zastygła.

Bramin ucieszony, oczarowany, zerwał się z miejsca i błogosławiąc niewiastę oznaczył jej uczucie dużą kreską, której dał nazwę: Cnotliwość — do podłości!

Niewiasta się oburzyła. Stojąc w progu świątyni, wołała wielkim głosem przeciw szatańskim wymysłom, zachęcała do zniweczenia nowatorstwa. Głos natchnionej kobiety pełen świątobliwej grozy poruszał

należą do sądów. Dyskusya nad tym przedmiotem poruszy może ospałych ze względu na doniosłość przedmiotu, którego dotyczy i będzie stanowiła jedną z ciekawszych kart w nudnych dziejach naszego sejmu. Żeby zaś wynikiem jej była stanowcza poprawa ustroju gminy wiejskiej, o tem mamy słuszne dowody powątpiewać.

Po sesyi sejmowej, która się zaznaczyła tak doniosłą sprawą, jak „konwersya długu indemnizacyjnego,“ nie mogą rozpoczynające się dziś obrady naszej krajowej „legislatywy,“ budzić żywszego interesu, ani do jaśniejszych upoważniać nadziei. Nie idzie za tem, aby miały być zupełnie bez pożytku i korzyści. Ponieważ ani budżet na rok przyszły nie będzie obecnie uchwalany, ani też nie będą dokonywane żadne zmiany ze względu na już przeprowadzoną konwersyę, przeto ta reforma skarbowa nie wywrze jeszcze bezpośredniego wpływu na treść uchwał sejmu.

W rozprawach posłów zaznaczają się te same dwa prądy nurtujące w obradach nad konwersyą, te same dwa kierunki przyszłej, na poprawie skarbu krajowego polegającej polityki finansowej. Przypominamy więc, że sejm uchwalając konwersyę, bardzo wyraźnie oświadczył się w swej większości za tą polityką, której pierwszym i naczelnym celem jest zmniejszenie kiedyś, choćby w przyszłości, ciężaru podatkowego, przygniatającego ludność. O tej swojej uchwale winien pamiętać, zwłaszcza, podczas obecnej sesyi, w której owa wypieszczona konwersya stworzyła atmosferę optymizmu finansowego, wyradzająca zbytnią pochopność do szafowania groszem publicznym. Znane to zjawisko psychologiczne, że nadzieja otrzymania znacznego spadku wywołuje nieraz rozrzutność u spadkobiercy, który lata jeszcze musi czekać na dekret dziedzictwa. Sejm nasz nawet z oszczędnościami konwersyi bardzo oszczędnie będzie się musiał obchodzić, jeśli uchwały jego mają wydać plon nie świetny, ale trwały, nie efektowny, ale zdrowy i jeśli to, co w społeczeństwach finansowo bardziej rozwiniętych jest pożyteczną i konieczną „inwestycyą“, nie ma się zamienić na wydatek zbytkowny i rujnujący.

Prościcki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jest to wprost okropną koniecznością naszych czasów, że rządy, parlamenty i dzienniki zajmować się muszą takimi Ahlwardtami. Sztab antisemityzmu praktycznego, podniecającego do walki najniższe instynkty ludzkie, składał się dotychczas z osobników bardzo lichej wartości, przedewszystkiem z patentowanych łgarzów i oszczerców, ale chyba najniżej z tego szlachetnego grona zszedł słynny autor broszury *Judenflinten*. Oskarżył fabrykę Löwego o oszustwa w wyrobie broni, a odbierających ją urzędników o łapownictwo—stwierdzono, że kłamał i wsadzono go do kozy. Wybrany posłem — tacy ludzie bywają dziś przedstawicielami narodu i prawodawcami! — oskarżył znowu deputowanych o rozmaite nadużycia i szacherki. Wyznaczona komisya parlamentarna do zbadania jego dowodów, jednogłośnie oświadczyła, że w nich nie ma ani kruszyny popierającej jego zarzuty. Wtedy oznajmił, że posiada „2 centnary aktów“ w Dreźnie, skąd je sprowadzi i przedstawi osobnej komisyi jako dowody winy kilku posłów i ministra Miquela. Znowu wybrano komisyę, która znowu przekonała się, że te „akty“ zawierają: wycinki z gazet, stare broszury, kopie listów sfałszowanych przez jakiegoś prostaka, który nawet nie umie pisać ortograficznie itd. Takim to subjektem zajmował się parlament potężnego państwa i opinia publiczna Europy przez kilka tygodni. Nic też dziwnego, że podczas obrad nad jego potwarzami w sejmie niemieckim, ktory najsurowiej ze wszystkich strzeże przyzwoitości wyrażeń, rozbrzmiewały co chwila krzyki: łotr, nikczemnik, kiep, waryat itd., a prezydujący ich nie karcił. Gdyby obecna epoka nie niosła w swem łonie ogromu zgnilizny, możnaby przypuszczać, że ów Ahlwardt jest niezamkniętym w domu obłąkanych szaleńcem. Ale pod teraźniejszą datą trzeba być ostrożnym w takich domniemaniach, gdyż bardzo łatwo skrzywdzić można waryatów, zaliczając do nich łotrów. Tak np. Ahlwardt przed 7 laty pisał do przyjaciela: „Kto mnie nazywa antisemitą, czyni to albo z niewiadomości, albo z chęci spotwarzenia mnie. Właśnie między żydami mam najlepszych przyjaciół.“ I to jest dziś pogromca Izraela! Na taką kanalię można tylko pluć.

Rozwiązanie parlamentu niemieckiego, dokonane śród najwyższego rozn amiętnienia, nadało rozpoczętej już agitacyi wyborczej charakter walki zaciekłej. Stronnictwa ogłosiły swoje odezwy, w których usiłują zamaskować doniosłość swych rozterek wewnętrznych. Zwłaszcza postępowcy, faktycznie już rozdzieleni na dwa odłamy a występujący formalnie jako jeden zastęp, znajdują się w bardzo kłopotliwem położeniu. Z obozu centrum słychać, że ma ono rozpaść się i wyosobnić pierwiastki przyjazne rządowi. O tem wszystkiem i wielu innych sprawach rozstrzygną wybory.

Z różnych stron napierają na Carnota, ażeby rozwiązał Izbę. Naturalnie lęka on się tylko złych skutków dla Rzeczpospolitej z odkryć panamskich, wątpimy bowiem, ażeby żywił jakąś sympatyę dla zgromadzenia, które mogłoby być odpowiedniem zaludnieniem dla Sodomy i Gomory.

Gazety francuskie, jak gdyby sobie pod tym względem nic nie miały do zarzucenia, prawią niemcom morały na temat nowych wyborów, ostrzegając głównie Capriviego, ażeby nie używał niepokojących sposobów swego poprzednika dla wywarcia nacisku na ludność w interesie reformy wojskowej. Zapewne, budzenie strachu kłamstwami jest rzeczą brzydką, ale i szowinizm francuski zbyt jest obciążony tym grzechem, ażeby mógł za niego karcić innych.

Na wiecu młodoczeskim w Padubicach poseł Vaszaty oświadczył, że już wkrótce młodoczesi opuszczą wiedeńską Radę państwa i nigdy do niej nie wrócą. W sejmie prazkim rozpoczęli oni znowu walkę z niemcami w komisyi adresowej.

Gabinet Trikupisa podał się do dymisyi z powodu niezgody z Izbą w sprawach finansowych. Zdaje się wszakże, że po Trikupisie nastąpi... Trikupis.

---

serca nabożnych. Aż zagrzani niebieskim ogniem, wpadli do mieszkania bramina i stłukli piekielne narzędzie.

Odtąd dla uczuć i cnót człowieka nie masz miary.

XXII. O niezgrabności Szymonka.

Pannie Salomei przez myśl nie przeszło, że zakrystyan kościoła św. Rocha nie odznacza się żarliwością. Był to człowiek lekki i czasem żartował z tego, co się wcale do żartów nie nadaje.

Dla Szymonka taki człowiek był tym, o którym powiedziano, że lepiej mu uwiązać kamień młyński u szyi.

Raz, wracając z nieszporów, zakrystyan zaprosił chłopaka do siebie. Słyszał on o kunsztownych krucyfiksach, które Szymonek wyrabia, a majster garncarski oblewa białą polewą i sprzedaje za niezłe grosze, postanowił tedy poprosić chłopca, o darowanie mu jednego z owych krzyżów. Aby zaś nie mówić o tem prosto z mostu, gawędził o rozmaitych rzeczach, między innemi więc opowiedział, jak pewien szlachcic, przyszedłszy raniutko do kościoła, postanowił obwieścić Bogu, że o jego łaski błaga nie byle chłop, więc zawołał:

— Panie Święty,
Twój sługa Wincenty
Szlachcic od pradziada
Korny hołd swój składa.

Zakrystyan ukryty za filarem, słysząc te słowa, szepnął:

— Choć szlachcic, ale dureń.

Jegomość zdumiony mniemał, że głos płynie z ołtarza, uderzył się więc w pierś i zawołał:

— Wszechmogący Stwórco nasz,
Jakiego stworzyłeś, takiego i masz.

Szymonek, słuchając opowiadania, śmiał się do rozpuku, nie myśląc, że grzeszne pogawędki ku dobremu nie wiodą.

Pewnego razu po solennych nieszporach, gdy wszyscy z kościoła odeszli, drzwi zamknięto, pozostało kilka dewotek, mających prawo opuścić dom modlitwy przez zakrystyę. Oczekując ich wyjścia, Szymonek strudzony całodzienną pracą w kościele, wielce się niecierpliwił; lecz któżby tam zważał na niego. Pobożne niewiasty, jako rycerze na turnieju, nie chciały sobie ustąpić wzajem. Patrzyły z ukosa jedna na drugą — i ani rusz!

Ale wreszcie zostały jeno dwie najcnotliwsze, najwytrwalsze — p. Jadwiga i p. Salomea: zmierzyły się wzrokiem... i postanowiły walczyć.

Już ci skończyłoby się chyba zemdleniem jednej z nich, lecz pierwsza przypomniała sobie, że nie wyłuszczyła Urszuli, jaki obiad ma jutro przyrządzić dla księdza Jana, pośpiesznie więc odeszła. P. Salomea nie wierzyła własnym oczom! Prawie od roku unikały starcia i nie bywały jednocześnie w żadnym kościele, dziś pani Jadwiga zerwała zawieszenie broni, ukazując się w ulubionym p. Salomei kościele św. Rocha — i oto ustąpiła bez walki. To coś znaczy!.. Naturalnie p. Salomea nie wyjdzie tuż za nią, choćby dla tego, że pobożne niewiasty, które niedawno opuściły świątynię, zebrały się jak zwykle przed kościołem i raczą się wrażeniami dnia całego; ujrzą tedy, że niedługo pozostawała. P. Salomea nie dba o ludzkie sądy, lecz chodzi jej o to, ażeby nie szerzyło się zgorszenie.

Zniecierpliwiony Szymonek przypomniał sobie opowiadanie zakrystyana i korzystając z chwili, gdy p. Salomea legła krzyżem na posadzce, więc nie mogła go widzieć, wsunął się cichaczem za ołtarz i mruknął:

— Precz z kościoła!..

Głos wśród pustki obił się o wszystkie zakątki, zdawało się, że ściany szepczą. P. Salomea drgnęła i powstała. Czyżby szatan naigrawał się z niej nawet w świątyni!

Szymonek strwożył się swej zuchwałości i chcąc wsunąć się do najciemniejszego kątka, zawadził o szczypce do gaszenia świec, które runęły z łoskotem. Panna Salomea zbladła, podeszła i spojrzała za ołtarz. Szymonek poczuł na sobie straszny wzrok bazyliszka. Zamrużył oczy i zdał się na łaskę losu. P. Salomea, nie rzekłszy słowa, odeszła.

Po zamknięciu zakrystyi Szymonek wracał do domu, drżąc jak w febrze. Wiedział,

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUKSA.

Paul Bourget. *Cosmopolis.* — José Maria de Heredia. *Les Trophées.*

Dalecy jesteśmy od patryotyzmu wyłącznego anglików; świat dzieli się w oczach naszych na dwie połowy, zaiste nader nierówne: łotrów i głupców z jednej strony i istoty uprzywilejowane, które przypadek obdarzył duszą szlachetną i odrobiną rozumu — z drugiej. Czujemy się rodakami tych ostatnich, czy się urodzili w Velletri, czy też w Saint Omerze.“ Tak dumał mistrz Bourgeta, Stendhal, oprowadzając swój rozkoszny dyletantyzm epikurejczyka śród przedstawicieli najrozmaitszych narodowości zgromadzonych wspólną miłością ku ruinom Rzymu *).

Możnaby napisać bardzo ciekawe studyum psychologiczne o kosmopolityzmie chwili obecnej, ale jeszcze dotychczas autora nie znalazło. Stanowi ono wprawdzie zadanie ostatniej powieści Bourgeta, lecz tylko w nader oddalonej mierze. Francuski powieściopisarz maluje mianowicie te sfery, które oddawna już odznaczają się swego rodzaju kospomolityzmem, a raczej jego prostytucyą: świat aferzystów, giełdziarzy i arystokratów.

Jest to kosmopolityzm najwstrętniejszy, gdyż utożsamia się z grabieżą, wyzyskiem, gdzie tylko wywierać się dają, a także z nieprzepartą chęcią używania i błyszczenia. Praktykuje się on u wód (à la mer élégante), w domach gry, a także w niektórych warstwach stołecznych. Chwyta w swe koło arystokracyę mniej lub więcej podupadłą politycznie, materyalnie lub moralnie, bankierów, którym schlebia ocieranie się o szlachetnie urodzonych i artystów, których kopią i jedni i drudzy, ale miłość własna tych pawiów najchętniej roztacza tu swe ogony.

*) *Promenades dans Rome*, II, 220.

Czas schodzi na grze, plotkach, intryżkach miłosnych, co wszystko jest zresztą przykryte pewnym blichtrem tonu i kłamanem zamiłowaniem do sztuki, bo pod bulwarową elegancyą odnaleźć można nieokrzesany smak, grubą niewiadomość i zabobonność. Powieść Bourgeta daje nam obraz tego właśnie rodzaju. Rzecz odbywa się w Rzymie. Bohaterką główną jest hrabina Steno, „dogaressa“ wenecka o pysznem ciele, złotych włosach, czarnych oczach i olbrzymich popędach, których wiek bynajmniej nie osłabił. Pozbawiona dzięki śmiałości i dogodnemu położeniu tych więzów, które społeczeństwo zwykle na kobietę kładzie, ma ona wszystkie pożądania i namiętności mężczyzny i zadawala je z takąż samą swobodą i pewnością siebie. Na początku akcyi, którą Bourget rozwija, kochankiem hrabiny jest z kolei hrabia polak Górka, ożeniony z bogatą angielką, której zresztą nie przestał kochać — w sercu ludzkiem bardzo łatwo może się pomieścić kilka uczuć, zatrącających je z kilku różnych stron. Górka jest człowiekiem próżnym, słabym, ale namiętnym i niepozbawianym śmiałości. Piękny elegant był kochany przez dwa lata, potem, gdy dla różnych spraw musiał wyjechać do Warszawy, znaleziono mu zastępcę, Maitlanda, człowieka dość ordynarnego wyglądu, ale za to silnego, barczystego, o potężnych mięśniach. Zresztą Maitland jest malarzem i jego talent służy za przykrywkę dla mięsożernych gustów hrabiny. Przesąd jakiś wyobraża sobie, iż kobiety nie lubią młodych byczków, których nazywają zwykle „młodymi bogami“ — i czynią bardzo dobrze: gorączka ich serca pochodzi zwykle tylko z niezaspokojenia krwi.

Maitland ożeniony jest z amerykanką Lidyą Chapron. Wraz z bratem swym, Floryanem przedstawiają oni ciekawe okazy potomstwa niewolniczego. Pochodzenie to wyraziło się u niego w istotnej, bezgranicznej przyjaźni ku Maitlandowi, któremu oddał siostrę z milionowym posagiem, a wiedząc następnie o związku miłosnym malarza z hrabiną, sam go przykrywa i proteguje, Lidya Maitland jest ze swej strony okazem niewolnicy — pochodzenie wyraziło się w niepomiernym rozwoju uczuć zazdrości i nienawiści. Zazdrości ona sławie męża i mści się za jego zdradę, uwiadamiając Górkę listem bezimiennym o nowej intrydze hrabiny Steno. Ta ostatnia ma córkę, delikatną i czułą Albę. Jej także złość niewolnicy nie zaoszczędziła wielkiej boleści, demaskując w liście bezimiennym miłości pokątne matki.

Inne osoby występujące w powieści są: baron Hafner, żyd z pochodzenia, wychrzczony luteranin, zbogacony przez brudne geszefty, coś w rodzaju Korneliusza Herza — niektórzy twierdzą nawet, iż Bourgetz niego właśnie malował portret— córka Hafnera, Fanny, opętana mistycyzmem katolickim, zbankrutowany książę włoski Andrea, markiz Moufanry, legitymista, papista z wściekłością napadający na czas obecny, na kosmopolityzm Stendhala, „akrobatyzm“ Renana itd. nareszcie Julian Dorsenne, powieściopisarz-psycholog, analista, który utracił zdolność wiary i miłości, rozpatrujący świat tylko jako materyał dla swej artystyczno-spostrzegawczej pracy. Górka dowiedziawszy się o zdradzie kochanki, powraca do Rzymu i po burzliwem, lecz bezowocnem objaśnieniu z hrabiną udaje się do Maitlanda, aby go wyzwać na pojedynek, ale przypadek podsuwa mu Floryana Chaprona, na którego wylewa całą swą złość. W rezultacie pojedynek kończący się dla Floryana lekką raną, natomiast w innym pojedynku Górka zostaje ugodzony kulą w ramię przez Dorsenne'a, którego także w swej wściekłości prawie bez powodu wyzwał. Jest zmuszony ledz na pewien czas w łóżku i to rozjaśnia zagmatwaną sytuacyę — żona, ze względu na syna wybacza Górce pod warunkiem, iż opuszczą Rzym. Alba, przekonawszy się o przewrotności swej matki, błaga Dorsenne'a, którego kocha, ażeby ją wyprowadził z tego błota. On jednak nie widzi w sobie dość uczucia, aby wziąć na się jakiekolwiek poważne zobowiązania. Alba przeziębia się umyślnie. wpada w suchoty i umiera. Fanny Hafner ma być wydaną za hr. Andrea, nie wie wszakże, iż ojciec wprost kupuje jej tego potomka kilku papieży. Z czasem wszakże i jej oczy się rozwarły — skutkiem rozczarowania wstępuje do klasztoru. W końcu Dorsenne czuje się nieszczęśliwym: śmierć Alby wywarła na nim okropne wrażenie. Pociechy za radą i wskazówką markiza Moufanona szuka w powrocie do wiary; jest to powrót niezupełny, raczej kokieterya wierzenia, niż coś poważnego, ale moda i geszeft mają swe wymogi.

Wogóle ostatnia ta powieść Bourgeta

że się stanie coś nadzwyczaj strasznego, lecz co? Na wszelki wypadek lwy i lamparty, które miał w swym pokoju, odniósł do p. majstra, książki w bibliotece uporządkował, obejrzał swój spencerek i płaszczyk, które kupił przed paru miesiącami; zliczył pieniądze zebrane z datków księży za służenie do mszy, oraz — parafian za drobne usługi i był gotów za pierwszą pobudką ruszyć w świat.

Nie długo czekał. Nazajutrz raniutko ozwał się dzwonek. P. Salomea, nie patrząc nań, poszła do ks. Jana. Minął cały straszny kwadrans, a w pokoju wciąż się rozlegał ożywiony gwar.

Co teraz będzie? Dawniej rzecz inna! Można było choćby w budzie przenocować: teraz i buda za mała, i płaszczyka szkoda walać, i wstyd wreszcie. A może majster przyjmie do terminu? — pomyślał i uczepił się owej kruchej deski zbawienia. Nareszcie, ksiądz Jan ukazał się, spojrzał surowo i wkładając płaszcz, rzekł:

— Idę do kościoła, dziś kto inny będzie mi do mszy służył; nie wychodź z domu.

Chłopiec wszedł do biblioteki, spojrzał na tapczan obity safianem, stół okryty suknem, na szafę z książkami... Przypomniał sobie, jak ksiądz Jan był dobrym; niezmierny żal ścisnął mu serce i łzy gorzkie, palące popłynęły po twarzy; płynęły cicho bez jęków, szlochań, prawie bez jego wiedzy: zwykle łzy sieroce.

Po chwili wpadła pani Jadwiga.

— Mówiłam, unikaj p. Salomei, teraz nic nie można poradzić; wyraźnie powiedziała ks. Janowi, że powinien cię oddalić; przyrzekł ukarać, naznaczyć pokutę — nic nie pomogło... No przestań płakać, znajdziemy dla ciebie jakieś miejsce.

— Możebym poszedł do garncarza?

— Co to za dola — garnki lepić? Zdolny jesteś, szkoda cię na takie rzeczy.

Ksiądz Jan, po powrocie z kościoła, długo rozmawiał z panią Jadwigą i, rzecz dziwna, Szymonkowi zdawało się, że słyszał jego śmiech... Gdy wreszcie mała pani wyszła, ksiądz wezwał Szymonka i rzekł doń:

— Nie spodziewałem się, że jesteś zdolny do takiego głupstwa. Zresztą, co tu pomogą dowodzenia, sam widzisz, jak źle się stało. Trzymać cię nie mogę, p. Salomea całe miasto poruszy. Dziś zostań, może się znajdzie jakieś miejsce, przecie nie wyrzucę cię na ulicę.

Nazajutrz p. Jadwiga dała Szymonkowi list, z którym poszedł do niejakiego p. Bursztana. Ten, jak się okazało, wielce poważny pan popatrzył na chłopaka, kazał mu napisać kilka wierszy, poczem rzekł:

— No, dobrze. Powiedz swej protektorce, że cię przyjmuję, będziesz u nas pisarzem.

XIII. O tem, jak się tworzy sława.

Pan Pusty ma nogi długie, koszlawe, tułów krótki, pękaty, czoło spłaszczone, a dolną wargę wydatną, co razem wzięte jasno dowodzi znakomitości rodu. Bezwątpienia przodkowie pana Pustego bawili się rycerstwem, stąd ich nogi przystosowały się do konia, tułów musiał być krępy, aby go zbroja nie zgniotła, a krótki, aby jak najmniejszy cel przedstawiać dla natarć wroga. Spłaszczona, a prawdopodobnie twarda czaszka dowodziła, że na niej hełm wciąż spoczywał; wydatność zaś szczęk—muszę wyznać — nie wiem, co oznacza. Jedni twierdzą, że jest to cecha silnego charakteru, drudzy — że zwierzęcości. Jeżeli innych zdań, dotyczących tego przedmiotu, niema, to dwa możemy jakoś pogodzić, albowiem wiadomo, że zwierzę im bardziej silne i surowe, tem jest zaciętsze, czyli, stosując to do człowieka, tem więcej ma siły charakteru.

Juliusz Stoczek dowodzi, że na świecie coraz to gorzej. Kiedyś — powiada — gdy wszystko było bardzo pięknie i słusznie, porządek był taki:

Arystokrata pił, jadł, bił i rządził. Ksiądz jadł, pił, spał, modlił się i niekiedy filozofował. Szlachcic pił, jadł, bił — jeśli podołał, a jeżeli nie — sam był bitym. Mieszczuch strugał, szył, garbował i niekiedy się upijał. Chłop orał, kosił, żął, pił i niekiedy otrzymywał plagi.

I tak, widzimy, że wszędzie był porządek ustalony, każdy wiedział, czego się ma trzymać, a dziś?.. Dziś, niestety, wszystko się zgmatwało.

posiada więcej akcyi i życia, niż poprzednie i jest może najlepszym z jego utworów, stanowi swego rodzaju przełom w jego twórczości: większą uwagę zwrócił na obyczaje, otoczenie i wypadki, niż na stany duchowe swych bohaterów, zwykle mdłe, płytkie i jednostajne.

José Maria de Heredia wydał nareszcie główne swe dzieło „Les trophées,“ obiecywane oddawna i znane z urywków. Heredia jest jednym z najwybitniejszych parnasowców, którzy z Leconte de l'Isle'm na czele wyłącznie prawie do doskonałości formy zewnętrznej dążą: „Une phrase bien faite est une bonne action“ — oto ich reguła. Uczucie nie jest dla nich głównem źródłem poezyi — jest to źródło zbyt dostępne i pospolite. Przez dumę artystyczną stali się więc „nieporuszonymi“ (impossibles); obojętni na wszelkie wzruszenia ludzkie, zamknęli się w kulcie pięknej formy i rzadkich wrażeń, odszukiwanych w naturze, legendach i historyi. Jest to poezya wyłącznie prawie opisowa i plastyczna — przedmiotu jej rzadko szukają w sobie, co najwyżej poświęcają swą muzę doktrynie filozoficznej, wyszukanej i niedostępnej dla tłumu (mistycyzm Beaudelaire'a lub buddyzm Leconte de l'Isle'a). U Heredia czynnik osobisty nawet w tym nieznacznym stopniu zaniknął. Piękne obrazy i dźwięczne słowa — ot i wszystko.

Z wyjątkiem „Romancera“ i „Zdobywców złota“ „Trophées“ składają się wyłącznie z sonetów. W tej formie zamyka on zwykle swe myśli i wrażenia i doszedł w niej do istotnej doskonałości.

Książka podzielona jest na części: w każdej z nich autor szeregiem sonetów stara się wskrzesić jakąś epokę historyi. Nikt od czasów Cheniera nie odnowił wspanialej w języku francuskim tradycyi hellenizmu. Są to złote freski, w których występują centaury, nimfy, fauny, satyry, posągi, groby o delikatnych rzeźbach, pokryte mchem i trawą — wszystko utrzymane w karbach istotnie klasycznej elegancyi.

Następuje Rzym i barbarzyńcy, legiony, forum, szczątki oręża, głosy mówców, szmer tłumu. A oto wieki średnie, zakochane damy marzące na balkonach, herby pełne tajemnicy, turnieje, polot religijny wyrażający się w krucyatach. Inny rozdział zajmuje się Odrodzeniem.

Następują sonety i poematy, dotyczące historyi podboju Ameryki. Jest to przedmiot ulubiony autora, który sam pochodzi z hiszpańskich „conquistatorów“ i zachował poniekąd imaginacyę swych przodków, wielkich awanturzystów XVI stulecia. Heredia świetnie przedstawia bohaterski nastrój tych śmiałych pokoleń i poświęcił im nawet swego rodzaju epopeę „Lu conquérants de l'or,“ która zresztą nie dotrzymuje kroku sonetom.

Poecie są dostępne nietylko radość bytu i rozkosz rozwijanej energii, lecz i melancholia zniszczenia i ruin. Po większej wszakże części zostaje on zimnym, marmurowym, „nieporuszonym“ — i trzeba przyznać, iż dopiął celu „szkoły“ w zupełności.

Oddzielne miejsce zajmują sonety czysto opisowe, bretońskie, chińskie, hiszpańskie, wschodnie i tropikalne.

L. W.

LITERATURA POLSKA.

Adam Krechowiecki, *Najmłodsi.*

Adam Krechowiecki jest hojny. Niedawno dał nam parę powieści historycznych, obecnie zaś zapragnął zdobyć wawrzyny na niwie beletrystyki społeczno-psychologicznej. Pierwsze były napisane z werwą i jaskrawym kolorytem, zaludnione tłumem postaci, scharakteryzowanych dosadnie. Autorowi chodziło w nich głównie o rozgwar i barwność akcyi, zaciekawienie czytelnika wątkiem wydarzeń, wysnutych przędzą jaskrawą i migocącą. Wyobraźnia żywa, lecz niezbyt lotna, niepogłębiona wszechstronnem odczuciem czasów zamierzchłej przeszłości, mogła stworzyć tylko barwne malowanki, zadawalające niewybrednych czytelników. Widocznie p. Krechowiecki porwany został w wir powieściopisarstwa historycznego szumną i olśniewającą sławą Sienkiewicza. Zaznaczone cechy nie rokowały mu powodzenia w tematach współczesnych. Przystąpił do zadania w rynsztunku bojownika średniej miary. Hasłem jego są interesy i zasady prawomyślności szlachecko-burżuazyjnej. Twórczość klasy rządzącej, raczej dążącej do władzy naczelnej w społeczeństwie, lub też znajdującej się w początkowym okresie wpływów przemożnych, zwykle posiada charakter optymistyczny lub nawet idealistyczny; twórczość zaś warstwy chylącej się do upadku zazwyczaj bywa, nawet mimowiednie, opisem rozkładających się form życia społecznego, nie wyprowadza ona postaci jednolitych, lecz skojarzenia pierwiastków rozdźwięcznych i wielobarwnych, dusze rozdarte, nadwrażliwe, rozstrojone lub też przedwcześnie zmartwiałe i zwiędłe. Płomyki ich życia są chwiejne i niepewne, wystarcza im skromne światełko łojowych świeczek zdrowego rozsądku i dążeń tuzinkowych większości.

Jeśli autorowie tego zastępu posiadają większy talent, dar żywszej spostrzegawczości, wówczas powstaje zamęt i ciągłe balansowanie pomiędzy prawdą życiową, bezlitośną i niesprzedajną a zdawkowym idealizmem. Ich bohaterowie zwykle nikogo nie zadawalają. Przebłyskują rysami, trafnie uchwyconymi z życia, poniekąd świadczyć mogą o nastroju społecznym, równocześnie wszakże wyłamują się z pod niewzruszonych praw konieczności i stają się przy końcu dziejów powieściowych wzorami ludzi podług modły powszednicj.

W powieściach historycznych p. Kr. hołdował przedawnionej już całkiem metodzie artystycznej, uprawiał, podług wyrażenia krytyki francuskiej, „roman d'avantures.“ W „Najmłodszych“ uczynił znaczny postęp. Utwór ten jest galeryą charakterów. Autor posiada rutynę literacką, styl gładki i swobodny, w niektórych ustępach opisowych zdobywa się nawet na pewną siłę obrazowania. Ale po za tem powieść nie przedstawia nic nowego, ani pod względem formy, ani też treści. Płynie ona szerokiem łożyskiem gadulstwa i rozwlekłości. Wypadki i ludzie nie mówią sami przez się, lecz autor ustawicznie występuje osobiście. Pociąga go mozajka różnobarwna życia, interesuje rozwój charakterów, nie zapomina jednak, że sztuka powinna „uszlachetniać“ i „umacniać,“ być przewodniczką, stróżką tradycyi, heroldem umiarkowanego postępu i skromnych cnót obywatelskich. Wydaje łaskawe wyroki na postacie mu sympatyczne, surowym zaś jest sędzią dla typów niemiłych, w obu zaś wypadkach nie zachowuje należytej miary. Nie panuje nad przedmiotem, jak myśliciel-artysta, również nie unosi się, jak poeta. Chce dać czytelnikom artystyczną kopię życia, równocześnie zaś owiać ich

---

Naprzykład hrabia Pusty, potomek słynnych rycerzów, którzy w dawnych czasach, jak dowodzi nasz słynny pisarz Janus, jednem cięciem miecza rozbijali najtwardsze głowy, dziś samotny, wyparty z ciżby społeczeństwa, nie wiedział, co z sobą począć.

Długo, to jest póki okruszyn dawnej fortuny starczyło, hrabia w czem mógł, trzymał się tradycyi ojców, więc jadł, pił i... zresztą więcej nic nie robił. Czasami jeździł do obcych krajów, tam jadł i pił, aż nastał dzień, w którym odgadł, że skoro nadal chce pędzić życie arystokratyczne, musi coś przedsięwziąć. Postanowił tedy dobrze się ożenić, lecz z kim? Bogata hrabianka nie pójdzie za niego, wreszcie trudno taką znaleźć. Szlachty zamożnej szukać ze świecą, chyba udać się do kupców!.. Hrabia rzucał się po pokoju, jak tygrys w klatce i rozmyślał:

— Tak, jeżeli *mezalians*, lepiej tedy mieć sprawę z kupcem lub bankierem, ze szlachtą łatwo się oszukać, wszystko to pnie się nad stan; a niech jeszcze hrabia zawita pod strzechę, równy wojewodzie tak rozwielmożnieje, że za parę lat i sam z torbami wyruszy... Więc z córką kupca! Lecz jak się z nią poznać? Jak upozorować, ażeby idealiści mieli prawo mię bronić: miłość wszystko uświęca.

Hrabia tarł czoło, kręcił się po pokoju, siadał, wstawał i wciąż myślał i myślał... Zaznaczamy ten fakt dobitnie, ażeby wskazać krzykaczom, jak grubo się mylą, dowodząc, że hrabiowie Puści nie lubią myśleć.

— Tak — szeptał — pod jakimbądź pozorem trzeba zstąpić do ludzi tej klasy, trzeba zetknąć się z nimi, zawiązać stosunki, zakochać się.

I znowu chodził, i znowu rozmyślał, aż wreszcie geniusz nawiedził jego mózg.

— Wejdę do jakiegoś towarzystwa przemysłowego... A dlaczego sam nie miałbym go utworzyć, stanąć na jego czele, ciągnąć korzyści?..

Nazajutrz, wbrew zwyczajowi, wstał o ósmej z rana i pokrywszy twarz maską powagi, udał się do słynnego we wszelkich sprawach przedsiębiorcy — pana Bursztana. Przyjęto go z szacunkiem należnym potomkowi słynnych przodków. O czem rozmawiał z gospodarzem, dotąd nikt nie wie, lecz po kilku dniach gazeta *Blaga* ogłosiła na kraj cały:

— W czasach ogólnej stagnacyi, gdyśmy rozpaczliwie opuścili ręce i zwiesili głowy, gdy obcy teutoński żywioł wydziera z rąk krajowców handel i przemysł, mimowoli zwracamy oczy na tych, co z woli Opatrzności zajęli poczesne miejsce na widowni społecznej. Niestety, nie wszyscy naturalni nasi wodzowie odpowiadają swemu powołaniu!.. Tem większa radość przepełnia nasze serca, gdyśmy się dowiedzieli o projekcie pewnego przedsiębiorstwa, obmyślanego przez hrabiego P., a popieranego dzielnem ramieniem słynnego pana B. Szczegółów przedsięwzięcia tymczasem nie mamy prawa ogłaszać, lecz upewniamy naszych czytelników, że jego siła żywotna stanie się deską zbawienia w grożącej nam powodzi.

Nazajutrz czasopismo *Gawęda*, redagowane przez wielkich do małych rzeczy mężów, sfukało swą serdeczną przyjaciółkę *Blagę* za zbytnią skromność i dokończyło:

— Upewniamy naszych czytelników, że ów projekt stanie się nie jakąś marną deską, lecz łodzią, a być może nawet statkiem parowym.

Zagraniczna gazeta, *Chwilka*, rozważywszy zdania swych przyjaciółek, napisała obszerną apologię, zaczynającą się od słów: Co to my! — a kończącą się tem, że pozytywiści dyabła zjedzą.

Redakcya tygodnika: *I naszym i waszym*, aby nie pozostać za innemi, wezwała zecera i zaleciła mu zamiast stu szpalt złożyć sto dziesięć. Dodane roztrząsały słynny projekt; a chociaż zecer w pośpiechu zmieszał wyrazy, wyszło to na lepsze: demokrata czytał artykuł z początku, arystokrata ze środka, postępowiec z końca, a zacofany zupełnie nie czytał — i wszyscy byli zadowoleni.

(D. c. n.)

umysłowość puchem nasiennym zdrowych a nadewszystko „zacnych teoryj." Widzimy w nim rycerza sztuki, w jednej ręce niosącego pochodnię, tryskającą promieniami, co prawda skąpymi, światła idealnego, w drugiej znów dźwigającego mieczyk dla ścinania głowy hydrze niesympatycznych ludzi i stosunków. Najlepiej odczuł typy słabe, psychicznie nadwątlone, niezrównoważone, obdarzone wykwintem duchowym.

Tym typom tylko poświęcimy dłuższą i baczniejszą uwagę. Pierwszą część swej opowieści skreślił autor podobno na tle wspomnień rodzinnych. Jest to część najsłabsza: ani wyrazistości, ani dosadności rysunku, wszystko to występuje w mglistych zarysach, powleczone barwą sentymentalnego rozrzewnienia. Drugi tom przenosi nas do Paryża; czytamy go też z większem zajęciem, gdyż odznacza się żywością i pewną plastycznością. Niepoślednie znaczenie w powieści odgrywa rodzina arystokratyczna Czarnoszyńskich. Autor wyprowadził na widownię trzech jej przedstawicieli, uosabiających trzy pokolenia. Stary marszałek, dziadek, przedstawia ucieleśnienie prawości i nieugiętości charakteru. Podczas całej prawie akcyi jest on już tylko ruiną duchową. Młodość Romana, jego syna, przypadła na pierwsze dziesiątki lat kończącego się obecnie stulecia; promienne słońce romantyzmu odbiło się na niej całą swoją siłą. Odbył wyższe studya uniwersyteckie, podróżował potem za granicą, wogóle był człowiekiem wykształconym, ale niepraktycznym marzycielem. Zakochał się i niebawem poślubił pannę Zenobię, córkę rodu arystokratycznego, lecz zrujnowanego. Panna Zenobia należała do licznego wówczas zastępu „dziewic idealnych," odznaczała się przezadą i egzaltacyą. Posiadała charakter bierny, mało uczuć rzeczywistych a dużo afektacyi, usposobienie gnuśne, a przez to samo niełatwo ulegające wpływom. Wszystkie wrażenia, chwilowo odczute, prześlizgiwały się w jej duszy bez śladu. Roman początkowo zamierzał przetworzyć charakter żony, wykorzenić apatyę i ożywić, przekonywał ją o potrzebie ofiar na rzecz męża i rodziny. Przyjście na świat syna obudziło ją na jakiś czas z bezwładu duchowego. Nieumiarkowana była w pieszczotach i zewnętrznych objawach miłości, wiele mówiła o swem poświęceniu i unosiła się nad niem. Administracya majątku szła coraz gorzej. Roman, w braku poparcia moralnego, którego koniecznie potrzebował, z coraz większym przymusem i coraz niedbalej zajmował się interesami, a te z dniem każdym gorzej się wikłały. Całe godziny spędzał z dzieckiem, usiłując badać jego skłonności, ciesząc się rozwojem umysłu i kierując go ku rzeczom najbardziej sobie drogim. Czytanie książek i rozmowa z synem stały się wyłącznem jego zajęciem. Wychowanie takie rozwinęło w Zygmusiu nadmierną wrażliwość i słabość charakteru. Tymczasem interesy majątkowe wciąż się pogarszały. Upadek arystokratycznej fortuny, obarczonej pozostałościami dawnego typu gospodarczego i nie mogącej zastosować się do nowych warunków, został przez autora trafnie, lubo w rozpierzchłych rysach, skreślony. Roman dał wreszcie za wygranę reformom. Zygmunt pojechał do szkół wraz z synem ekonoma, przyjacielem i towarzyszem lat dziecinnych. Jurek był jego przeciwwagą i antytezą. Samolub, natura trywialna i gruba, zarozumiały i przeświadczony o przyszłych swych powodzeniach, prawdziwy plebejusz ducha i dążeń. Na arystokratycznie wydelikaconego Zygmunta spoglądał lekceważąco i niechętnie, z tajną zawiścią. Mają oni przedstawiać dwa typy „najmłodszych."

W Odesie zamieszkali u p. Grużewskiego, pedagoga. Miał on dwoje dzieci, córkę, Anielkę, zatopioną w ekstazie religijnej, i młodszego syna, księdza Stanisława, o którym autor powiada, iż życie dało mu dotychczas samo tylko zachwyty czyste i żadnem nie zmroziło rozczarowaniem. Ksiądz Stanisław wywierał wielki wpływ na Zygmunta i chętnie bardzo z nim przebywał; mówił mu o rozkoszach służby bożej, o walce z namiętnościami natury ludzkiej, wzniosłych tryumfach ducha.

Rozmowy te rozpalały duszę młodzieńca, który o niczem teraz nie marzył tylko o tem, aby się stać tak duchowo wzniosłym, tak doskonałym, jak ów ksiądz i jego siostra. Jurek zachowywał się wobec tego wszystkiego bardzo opornie i wrogo, urągał i wyszydzał pobożne praktyki kolegi. Nastąpił wreszcie przełom, rozbicie się fortuny Czarnoszyńskich. Zygmunt znalazł się w Paryżu, ściągnięty naleganiami swej ciotki, aby tam szukać sławy na polu działalności literackiej. Tu bliżej zetknął się z Ireną, jej córką i Olą, sierotą biedną, wychowanką swej rodziny, będącą obecnie pod opieką pani de Larjeack i kształcącą się na śpiewaczkę. Irena i Ola są typami „najmłodszych" w sferze niewieściej. Pierwsza jest dla autora postacią niesympatyczną, chociaż odmalowana daleko trafniej i dokładniej; drugą opromienia on światłem księżyca i blaskami zorzy. Pragnęła poświęcić się zupełnie i na zawsze sztuce, ukochać ją tak, aby w niej żadnych innych uczuć ani pragnień nie zostało. P. de L. mając ciągle na oku zamożpójście Ireny, pragnęła Olę zatrzymać przy sobie, jako miłą towarzyszkę, zarazem ozdobę salonów, które chciała widzieć zawsze w całej świetności i blasku. Kochała ją szczerze i gorąco, ale uczuciowość wielkich pań zawsze owinięta jest samolubstwem i próżnością. Pomiędzy nią a Zygmuntem nawiązał się odrazu stosunek serdecznej i poufałej zażyłości, Irena była wytworną boginią salonową, kokietką, kapryśnie goniącą za coraz to nowemi wrażeniami, zmysłową i zmienną. Jest to prawdziwy „anioł egoizmu." Obie zakochały się w Zygmuncie, każda na swój sposób. On zaś na bruku paryzkim całkowicie się zmienił. Dawna egzaltacya wywietrzała zeń zupełnie. Stał się światowcem, dyletantem duchowym i poczęści sybarytą umysłowym. Rojenia o sławie literackiej nie ziściły się. Autor tłomaczy, że tylko na gruncie stosunków ojczystych każdy talent może się rozwinąć i rozkwitnąć. Irena poślubiła księcia de Sarthet, podstarzałego, lecz bogatego światowca. Zygmuntowi wyrobiła korzystną posadę, raczej synekurę, u męża. Czarnoszyński zamieszkał w pałacu nowożeńców, apartament jego znajdował się w pobliżu pokojów Ireny... Prędko zżył się z nową swą pozycyą, czasami jednak doznawał niesmaku i rozgoryczenia. Po gwałtownej śmierci księcia nastąpił stanowczy rozłam między kochankami. Zygmunt dostał wówczas jakieś zajęcie i skromne pędził życie w Paryżu.

Wogóle arystokracya występuje w kształtach niepowabnych, w obsłonkach zwyrodnienia, dyletantyzmu, migocących i samolubnych porywów. Lśniąca powłoka zewnętrzna przykrywa uwiąd energii, rozluźnienie moralne, bezduszną cześć dla form ustalonych i nałogów kastowych, spętanie niewolnicze lękiem przed troskami i uraganami życia. Udatnie odtworzony został nastrój duchowy Oli, kiedy poświęciła się stanowczo karyerze scenicznej. Prędko pierzchły rojenia o życiu cichem, skromnem, a poświęconem pracy artystycznej. Odczuła konieczność rozgłosu, reklamy, blasku. Artystka nie może być osamotnioną, wyłączną panią swych czynności, musi udzielać się wszystkim. Ola zmieniła nie tylko tryb życia, ale ton mowy, wyraz twarzy, szczegóły stroju — naśladowała inne artystki, które jej jako wzór wskazywano. Bywała często teraz w teatrze, przypatrywała się bacznie wszystkiemu i z wrodzoną wrażliwością chwytała wszelkie subtelne odcienie.

Jeżeli p. Krech., nie chce zużyć się i wyjałowieć prędko, powinien zaprzestać wędrówki artystycznej po wielkim gościńcu, okrytym kurzawą teoryi płytkich i wierzeń pospolitych, powinien stargać więzy spójni z masą bezbarwną zaściankowiczów duchowych. Natomiast niech pogłębi talent swój szerszem wniknięciem w rdzeń stosunków społecznych i ubarwi go jaśniejszymi promieniami prawdy artystycznej *).

Br. Ch.

TEATR.

Ilk. *Potęga pieśni*, obrazek sceniczny w 1-ym akcie.

Zygmunt Przybylski. *Bzy kwitną*, obrazek sceniczny w 1-ym akcie.

Michał Wołowski. *Ostatni grosz*, obrazek sceniczny w 1-ym akcie.

Za trzydziestoletnią pracę na scenie p. Ładnowski otrzymał poranek benefisowy, a raczej jego rezultaty, publiczność zaś — program wielce urozmaicony. Oprócz trzech powyżej wymienionych jednoaktówek, odegrano z *Maryi Stuart* Słowackiego część aktu 4-go (obraz 8-my), pierwszy raz akt trzeci *Lekarza swego honoru* Calderona; nadto muzyka Barcewicza nadała siły przyciągającej widowisku. Romantycy nam śpiewali, że kwiatem talentu i siłą twórczości jest — miłość, liczne zaś przykłady dowiodły, że tak jest istotnie. Najpiękniejsza, najgoretsza poezya erotyczna zrodziła się i rozwinęła na tem tle, wszelako w większości wypadków nie uczucie samo przez się, lecz wyobraźnia główną odgrywała rolę. Kobieta ukochana, w obsłonkach estetycznych, zdaleka „w anielskim stroju," to nie zwyczajna, dozgonna towarzyszka życia, nadeptująca na pięty swemu małżonkowi, częstokroć nie krępująca się w odsłanianiu całej ohydy swej duszy i charakteru. Takie „czynniki" rozbudziły chyba odcień satyry i zgoryczenia w talentach. Poeta lub artysta, pogodny słodki, sentymentalny, rozmarzony, to kochanek, którego przedmiot miłości pływa w obłokach fantazyi, widziany tylko w chwilach, kiedy występują w kobiecie cechy najbardziej szlachetne i dekoracyjne. Autor ukrywający się pod pseudonimem Ilk, rozsnuł swoją jednoaktówkę na tle takiej miłości, fabułę zaś sztuki zamknął w pracowni malarskiej mistrza holenderskiego i uczniów. Młoda żona, która swym urokiem rozbudziła twórczość w starym mężu, działa następnie na jego ucznia. Talent dawnego mistrza gaśnie, a promienie gwiazdy przewodniej spływają na jego następcę. Ale żywego temperamentu atrysta chciałby tę gwiazdę przybliżyć do siebie i w chwili, gdy to chce uczynić, rozlega się melodya miłości, wydobyta ze strun skrzypcowych przez starca. Ta potęga pieśni oczarowała na nowo kobietę, która stała już jedną nogą nad zwykłą przepaścią zdrad małżeńskich. Ona patrzy nadal słodko w oczy towarzyszowi wędrówki życiowej i może powtarza sobie słowa Krasińskiego: „Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością"; zrezygnowany zaś młodzieniec pozostaje z jedyną kochanką — sztuką. Wzruszające to i bardzo ładne na scenie, ale nie prawdziwe.

P. Przybylski naszkicował poetyczny obrazek na tle nocy księżycowej i kwiecia bzów, zaglądających do okna ubogiej kobiety, której córka pojechała do obcych na chleb nauczycielski, a obok matki został

*) Rada trudna do wykonania dla redaktora urzędowej *Gazety lwowskiej*. *Red.*

sąsiad, student z tęsknotą w sercu, kojący chwile smutku i żalu — śpiewem przy akompaniamencie fortepianu. Podczas gdy on boleje nad losem zbyt młodej dziewczyny, w świat puszczonej, gdy marzy o tem ażeby ją pozyskać na dozgonną towarzyszkę, nauczycielka zjawia się niespodzianie u matki, ażeby jej powiedzieć, że wychodzi za rządcę na wsi, którego wprawdzie nie kocha, ale czuje, że będzie jej z nim dobrze, że tym sposobem sobie i matce zapewni życie bez troski. Lecz tu naraz następuje przeobrażenie jej pragnień i marzeń. Nagle stanął przed nią ów student, przybity niespodzianą wieścią i ona dopiero w tej chwili poznaje, że robi wielką omyłkę, którą wszelako łatwo naprawić: dać kosza rządcy i tym sposobem uniknąć siania dlań ogórków, a poślubić kochającego młodzieńca i być w niedalekiej przyszłości panią doktorową. Taka zamiana bywa bardzo często w życiu; szkoda tylko, że w bohaterce p. Przybylskiego nie zgadza się ona z elementarną prawdą psychologiczną. Dziewczyna, która przez długi czas pozostawała w serdecznych stosunkach z młodym człowiekiem, pozwalała mu się przytulać do piersi, wcale się nie domyślała, co jest powodem tej serdeczności, ani też w swojej duszy nie czuła żadnych drgnień pokrewnych z miłością, czy też przyjaźnią. Dopiero rozpacz studenta otwiera jej oczy i cudownie budzi w niej samej gorącą miłość. Pod względem uscenizowania sztuka jest zręcznie stworzona i robi miłe wrażenie.

P. Wołowski przeniósł słuchacza w atmosferę szlachcica, któremu wierzyciele obcięli poły, ale jeszcze kurtkę zostawili. Poczciwy, o miękkiem rozpływającem się sercu hreczkosiej ma córkę, która wcale nie wygląda na gąskę wiejską, świeżo oswobodzoną z mundurka pensyonarskiego. W każdym razie musiała być na jakiejś pensyi niezwykłej, gdzie po za programem posiadła sztukę uczenia miłości i wykłada ją wędrownemu impresyoniście w chwilę po zawiązaniu z nim znajomości, z takiem mistrzowstwem, na jakie zdobyć się może chyba tylko bardzo doświadczona, obyta z przygodami miłosnemi i wyrafinowana kokietka. Nauczanie poszło dobrze i skończy się połączeniem mistrzyni z uczniem przy ołtarzu. Cała drobnostka sceniczna posiada dużo humoru. Artyści uczestniczący w poranku, doskonałą grą oddali wielką usługę p. Ladnowskiemu, on zaś sam, jako główny uczestnik widowiska, dowiódł, że pamięć i sympatya słuchaczów wypływa z prawdziwego uznania jego talentu i pracowitości.

Zen. Piet.

ODCZYTY.

VII. Józef Kenig. *Nowy kierunek w literaturze zachodniej.*

Braknie nam czegoś, brak ten dokucza coraz bardziej, brak ten odczuwamy nieustannie w głowie i sercu, w woli i w czynie. Napróżno oszołamiamy się użyciem materyalnem, w najszerszych stosowanem rozmiarach. Im bogatsze i ludniejsze stają się owe wielkie zbiorowiska ludzi, dostarczające wszelkich środków zdobycia nie tylko zmysłowej, ale i umysłowej rozkoszy, te zarazem wielkie ogniska wszelakiej, tak materyalnej, jak i duchowej pracy — tem bardziej wzmaga się poczucie tego braku, tem mocniejszy jest obrzask po wytrzeźwieniu z wszelkich upojeń, tem przykrzejszem uczucie przesytu.“ Ztamtąd owo niedomaganie szerzy się i obejmuje świat cały, wdziera się we wszystkie warstwy społeczne. Największe zdobycze niniejszego stulecia, olbrzymi wzrost bogactw, postępy w rozwoju techniki fabrycznej i wogóle wszystko to, co rozum ludzki i przedsiębiorczość stworzyły, nie wystarcza dla usunięcia rozdźwięków duchowych i tych braków, dotkliwie odczuwanych. Czy jednakże owe ciągle wzrastające niezadowolenie jest objawem niepożądanym, szkodliwym? „Dobrze kierowane, bywa bodźcem i warunkiem postępu.“ Prelegent szuka tych dróg, po których owo znamię chwili podąża i — zatrzymuje swoją uwagę na jednej: — drodze ku idei chrześciańskiej. Bourget i szereg innych pisarzy poczytnych nie jest jej zdecydowanym wyznawcą; umie jednak odtwarzać nadzwyczaj wiernie stan umysłów dzisiejszych. Liczba tego pokroju pisarzy francuskich wzrasta coraz bardziej i chociaż nie posiadają oni wybitnych talentów twórczych, wpływ ich, jak zaznacza prelegent — silnie oddziaływa na umysły, skołatane zwątpieniem i niewiarą, dają im spokój i siłę. Jeden z młodych pisarzy francuskich, Houssaye, który przewiduje tryumfowanie po dzisiejszym zamęcie jedynie chrześcianizmu Chrystusa, upatruje już dziś jego działanie: „Wstąpił między nas w naszej literaturze pod nazwą ideału, w naszej cywilizacyi pod nazwą postępu, w naszem życiu politycznem pod nazwą solidarności człowieczej. Z jutrzenką nowego stulecia może w jasności swej stanie.“ Temu zwrotowi ku ideałom chrześciańskim powstałemu na gruncie racyonalizmu i pozytywizmu, Kenig wróży szeroki i trwały rozwój. Pomimo potęgi i rozrostu wiedzy ścisłej, w głowach i piersiach pozostało jeszcze miejsce na inny pierwiastek— „ożywcze tchnienie.“ Tem właśnie tchnieniem ma być powrotna fala chrześcianizmu, a raczej przewodnie myśli jego. „Nowy prąd — mówił prelegent — nie targając się na naukę, na jej swobodę, nie skarżąc się na jej następstwa obyczajowe, społeczne i ogólne, owszem, pragnąc największego jej rozwoju, nowy prąd chciałby nas nietylko uczyć i kształcić, ale także wychowywać, hartować lepiej charaktery, wzmocnić cnotę, przyzwyczaić do czuwania, do kontroli nieustannej nad samym sobą.“ Słowem ma to być etyka chrześciańska, którą za Millem i innymi prelegent szczerze wyznaje. Bourget, Desjardins, Rod, Sienkiewicz ujawnili znamienny nowy kierunek w dzisiejszej literaturze, na którego dnie, zdaniem Keniga, leży pragnienie moralnego odrodzenia. Ten zwrot jeszcze przed 60-ciu laty przewidział Krasiński w *Nieboskiej komedyi* i przez usta Pankracego, przedstawiciela demokracyi, sił materyalnych, wypowiedział następujące zdanie: „Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię (mówi do Leonarda), bo dopiero połowa pracy dojdzie do końca swojego z ich ostatniem tchnieniem. Patrz na te obszary, na te ogromy, które stoją w poprzek pomiędzy mną a myślą moją; trza zaludnić te puszcze, przedrążyć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło, ile śmierci teraz na nich leży. Inaczej dzieło zniszczenia odkupione nie będzie.“ I nie dokonał tego odkupienia, bo mu wyższych pierwiastków, siły duchowej zabrakło. Ujrzawszy Chrystusa, oburącz wspartego na krzyżu, umarł z okrzykiem: *Galilee vicisti!* To jest tryumf chrześcianizmu, w którym prelegent widzi przyszłe odrodzenie cywilizacyi. W ciągu swej półwiekowej działalności literackiej Kenig poraz pierwszy zabrał głos z mównicy publicznej.

Zn.

NOWE OBRAZY.

II.

„Pleśń wieczorna“ Fr. Żmurki.

Kiedy, parę miesięcy temu, salon p. Krywulta, przywabiał gości szeregiem płócien Żmurki, wystawionych nie bez pewnej dumy, należało właściwie poświęcić im wzmiankę obszerniejszą. Ale, niestety, jeśli częste powtarzanie tego samego nazwiska może się uprzykrzyć czytelnikowi, to z pewnością niemniej jest w stanie znudzić sprawozdawcę. Naszem zdaniem tylko wtedy zachodzi potrzeba pisania o nowym obrazie znanego i powielekroć wspominanego pędzla, gdy zawiera nowy jaki pierwiastek, gdy w zawodzie swego autora stanowi mniej lub więcej ważny moment. Owóż o cyklu p. Żmurki nic podobnego twierdzić nie można było. Były to malowane dowody i okazy niezmiernie odważnego wyzyskiwania własnych dawnych pomysłów lub — co na jedno wychodzi — dalszy ciąg utrapionego kołowania po jednym wązkim placyku. Widziałem tam parę kobiet, ponętnych delikatną, bosko-nieprawdziwą cerą, a różniących się jedynie sposobem wystawiania swoich szyj, ramion i piersi. Na taką masę zbiorową ciała i wszelkich draperyj nie było ani jednej twarzy. Życie zaczynało się dopiero od podbródka, idąc w kierunku dolnym. Nie chcę przez to powiedzieć, że same fizyognomie były brzydkie, bo niewiele to miałoby wspólnego z oceną; nie utrzymuję, że były pozbawione wyrazu, bo to oznaczałoby jeno niemoc dosyć pospolitego i częstego gatunku. Nie — artysta poprostu nie umiał się zdobyć na typ ludzki, na pewien rodzaj fizyognomii, której można byłoby nauczyć się bodaj po 24-godzinnem wpatrywaniu się — na pamięć. W tych twarzach każdy rys jest wzięty skądinąd: nos nie zgadza się z oczami, oczy z uśmiechem, uśmiech z ustami. Nie ma w nich najelementarniejszej jedności i całości chociażby bezwyrazowej. Wszystkie te damy były prawdopodobnie tylko cząstkami składowemi jednej osoby i każda pojedynczo działała, jak połowa stereoskopu — razem możeby stworzyły jednolitą postać. Wyobraźmy sobie fotografa, któremu w najważniejszej chwili klient kichnął, otrzymamy wtenczas cały szereg podobizn, z których każda przedstawia jeden z momentów kolejnych procesu kichania — i zarazem pojmiemy główne kalectwo p. Żmurki. Mojem zdaniem inne jego braki, jak jednostronność i jałowość fantazyi, są wobec rzemieślniczego dziś wyspecyalizowania się sztuki małoważne w porównaniu z dziwną zaiste i wprost okropną niezdolnością namalowania ludzkiej, zrozumiałej, konsekwentnej w sobie twarzy. Niech ona przypomina huryskę, niech będzie podobną do aktorki, baletnicy, kokoty, kawiarki, modela, dyablicy wreszcie lub anioła, ale niech będzie uchwytną i poznawalną.

Jedna tylko tam była główka niedrażniąca oka i snadź skopiowana z kobiety osobnej i prawdziwej — dama w wielkim rembrandcie. Posiadała wiele dobrego smaku i elegancyi w ogólnych liniach postaci, a oblicze jej nie było ćwierć-tonem twarzy, podzielonej między kilkoro par odaliskowych ramion.

Tem wspomnieniem ułagodziwszy swą wyobraźnię, zaczynamy wpatrywać się w „Pieśń wieczorną.“ Poetyczny mrok zasłoniętej szczelnie sali wiedzie do niej jak do ołtarza i daje oświetlenie, o jakiem tylko malarz zamarzyć może. Pierwsze wrażenie, czysto zmysłowe, w którem bierze udział jeno władza wzroku, wrażenie plamy barwnej i kombinacyi kolorów jest nader przyjemne. Wprost głaszcze ona i pieści swą przedziwną szlachetnością i miękością. Odrazu widać, że to paleta bez energii i siły, ale po turecku, po haremowemu przytłumiona, delikatna, jasna, lecz nie jaskrawa. Malarstwo w powikłaniach kolorystycznych bywa śmiałe i często osiąga wielki efekt przy pomocy takiego skojarzenia barw, które w życiu powszednieem, w pokoju lub towarzystwie uważanoby za szczyt bezsmaku lub papuziej pstrocizny. Otóż p. Żmurko podobnego grzechu nigdyby nie popełnił; dla niego kolorytem pię-

knym nazywa się ten, co w równym stopniu nęciłby w odzieży lub urządzeniu buduaru. Stąd ogólny ton jego najnowszej pracy jest niezmiernie dla oka przyjemny, dyskretny, poetycznie niewyraźny i nie pozwala wyrywać się żadnym planom miejscowym. Są one zredukowane do minimum i podporządkowane mgławicy, w którą niby stopiły się konchy perłowe, listki bzów i róż i cera świeżej, wyszukanie pięknej kobiety.

I powiem otwarcie, że wpatrywać się w tę wielką płaszczyznę łagodnego światła i łaskoczących nerwy malowanych półdźwięków — to prawdziwa, sybarycka rozkosz, osobliwie gdy przymrużyć powieki, ażeby... postacie nie rysowały się wyraźnie, ażeby się stały widziadłami, lekko narzuconymi cieniami, od których przecie można nie wymagać zrozumiałych giestów i wyrazu. Bo w chwili, gdy ocknie się sąd rozumu i zaczniemy szukać łączności między figurami, treści, momentu psychologicznego i poprostu celu ich i znaczenia, nasza przyjemność rozwiewa się kędyś, a w każdym razie maleje niesłychanie.

Rozeznajemy wtedy coś w rodzaju idyli greckiej, której za tło służy brzeg tajemniczej wody, usiany głazami i odłamami krzemienia. Istota nieokreślonej płci śpiewa z uniesieniem przy wtórze liry a trzy niewiasty, i mężczyzna poddają się czarowi muzyki i przyrody. Oczywiście taką jest intencya twórcy, nie trudna bynajmniej do odgadnięcia i ogólnikowo tłomacząca się. Ale ani jeden żywioł nie potwierdza jej i nie ilustruje, jakby należało. Nastrój poetycznie melancholijny płynie z pewnej leniwej powagi i powolności ruchów, z pewnej ociężałości, ale żadną miarą z wyrazów fizyognomii, z ruchów i wzajemnego stosunku psychologicznego między osobami. Są one rozmarzone — o tem wiemy na pewno, ale to wypiętnowane zostało niezmiernie słabo. Śpiewak czy śpiewaczka — prędzej pierwszy, bo jak na kobietę za nadto jest płaski — ukazuje nieładny, źle skrócony perspektywicznie i nic nie mówiący profil, dziewica, która ku niemu podchodzi jest wprawdzie efektowna, ale daleko więcej myśli tkwi w jej powłóczystych, miękkich szatach niż w twarzy. Towarzyszka jej siedząca na kamieniu, duma, ale zadumaniem szablonowem, które zastosować można do każdej sposobności, do mnóstwa różnorodnych stanów ducha i przyczyn zewnętrznych. To samo zresztą, jota w jotę powiedzieć można o poprzedniej. Już znacznie więcej bierze wyraźnego w sielance udziału para stojąca pod kępą drzew grabowych, ale i tu główną wskazówką ich romantycznego usposobienia jest bliskość wzajemna oraz oddalenie od reszty towarzystwa. On bowiem tylko bezmyślnie i chłodno patrzy na nią, a ona nie dosyć słucha naturalnie. W dodatku są te kobiety znowuż tylko lekkiemi odmianami, waryantami jednej. I oto obraz malowany na poezyę i dosyć złożony, wyrazić nie umiał swej ładnej myśli przewodniej, tak, aby w odpowiedni akord zestrajała części składowe. Jeśli tu jest pewna harmonia, to wynika ze wspólnego wszystkim postaciom słabego natężenia uczuć. Nie ma zaś owej niezbędnej w podobnego rodzaju ocenie logiki, z góry określającej rolę każdej z osób i konsekwentnie przeprowadzonej. Wolno ci do istniejącej już grupy dodać parę indywiduów, wolno ci ująć — całość nic ze swego chłodu nie straci, i co najsmutniejsza, w niczem nie zmieni się *wewnętrznie*. Do miana obrazu w najwyższem artystycznem znaczeniu słowa, płótno tak dowolnie i przygodnie ułożone, pretensyi mieć nie może.

Pan Żmurko — nie wyjątek zresztą w tym względzie — nadużył tu, jak i zwykle usłużności ram, których zadaniem stało się ujmować w całość i ład najbardziej rozprzężone skrawki i ułamki i najgłośniej krzyczące chaosy i gromady motywów. Szlachetna i wielka idea zwartego w sobie i organicznie spoistego dzieła jest mu obcą. A przecież bez tego warunku może istnieć niekiedy powieść, poemat, ale nie może istnieć sztuka malarska.

Pojedyncze fragmenty „Pieśni wieczornej" podobać się mogą. Rasa jej kobiet tchnie poezyą. Są wiotkie, delikatne i estetyczne, są miłe i ładne, ale brak im indywidualności wszelkiej i wytworności prawdziwej. Poco i dlaczego ściągają usta jak szansonistki lub stare panny? Ba! Trudno przecież żądać, ażeby artysta na starość wyzuł się z własnej skóry i wyleczył z nałogu, zwłaszcza jeśli ten nałóg wobec gustów warszawskich uchodzi za ideał dobrego smaku. Rozejrzawszy się dokładnie, odkrywamy, że ten pierwiastek wystawy, kokieteryi, zalotnictwa posłużył mu i tym razem za punkt wyjścia i stanowi nutę, najsilniej dźwięczącą w całej melodyi. On to sprawił, że dziewica na prawym planie wystawia brzydko i rażąco lewą swą pierś całkiem w duchu dawnych piękności p. Żmurki. On tłomaczy, dlaczego inna obnażyła ramię zmysłowo grubo i z eterycznością postaci nie licujące. Jego to wreszcie sprawka, że natura, krajobraz sam odsłonił swe wdzięki tak jakgdyby to był dzień, a przecież sierp księżyca na niebie i tytuł malowidła najwyraźniej zapowiadają wieczór. Pod tym względem obraz jest w rzeczy samej konsekwentny i jednolity. Co ma być ukryte, jest widoczne, co ma być głębokie, jest płytkie, co ma być dyskretne, jest zuchwałe, co ma tonąć w półmroku—świeci się i błyszczy. Piękny pejzaż został zepsuty, śliczny nastrój strywializowany — dla marnego, taniego efektu i gwoli paru głupim kwiatkom, które wyrastają z pośród kamieni i przy należytem pojęciu momentu powinnyby zniknąć dla widza.

Malarz zmanierowany w pewnym kierunku, dosiadający stale jednego i tego samego konika, pozostanie mu zawsze wierny. Choćby w przekonaniu własnem przerzucił się do rodzaju całkiem nowego i zaczął tworzyć poważniej i szerzej, dawny ćwiek lub dawna śmieszność zawsze wyleżą na wierzch. Podobnie i literat, będący wirtuozem w malowaniu nikłych uczuć i galanteryjnych spraw, nigdy się po nad tę swoją sztukę nie podniesie, choćby nawet opracowywał temat szumny i rozległy, jak zagadnienia i walki bohaterów Shakespearea. To — fatalność, więcej nieubłagana, niż przeznaczenie, ciążące nad Edypem.

Jakkolwiekbądź, szczerze życzymy powodzenia w Ameryce „Pieśni wieczornej" *Ut desint vires, tamen* itd. Zawszeć to gatunek obrazów wyższy, polotniejszy, już bodaj dla samej skali zamiaru, poetycznej domieszki i nakładu pracy. Nie sprosta on swoim wzorom, Alma Tademie, Siemiradzkiemu, Böcklinowi, ale je przypomina. A i to coś warte. W Chicago płótno to kupią niechybnie na wagę złota i potem rozkrają na pojedyncze figury, mężczyznę rzucą w kąt bo mężczyzna, a dla krajobrazu mają za gruby, za brutalny smak.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

W OBRONIE KOBIETY.

Niejednokrotnie wypadało mi w łamach *Prawdy* bronić kobiety przeciwko różnym głosom, usiłującym zagrodzić jej drogę do wiedzy i kształcenia swoich uczuć. Dzisiaj znowu powracam do tego starego i nieco nudnego obowiązku. Tym razem muszę bronić kobiety i jej swobody przeciwko zamachom ze strony „patryotek sprawy niewieściej," czyli, jak brzmi utarty w ostatnich czasach termin, feministek. Atoli przedewszystkiem zobaczmy, czem są owe feministki. Jeżeli pytamy o jakiś owoc, który dojrzał na drzewie życia społecznego, przedewszystkiem trzeba odpowiedzieć, z jakich soków powstał. Otóż urzędowe wyznawczynie feminizmu są kością z kości i ciałem z ciała inteligencyi mieszczańskiej. Życie uwalnia je aż nazbyt często od wszelkich obowiązków społecznych, gdyż kobieta zamożna znajduje na każde zawołanie mnóstwo najemników. Jako matka nie karmi własnego dziecka, nie dlatego, ażeby jej zbywało na zdrowym pokarmie, ale ponieważ to sprawia kłopot, ogranicza swobodę itd. Dziecko to ssie pierś cudzą, często taką, która porzuciła własne niemowlę i oddała je na garnuszek, ażeby mieć co włożyć do swoich ust. Jest to już nie postęp społeczny, ale zanik uczuć najkardynalniejszych, poprostu wynaturzenie. Kiedy maleństwo zacznie chodzić, niańka zastępuje matkę — nie owa niańka wyidealizowanej przyszłości, która w zawodzie wychowawczym znajdzie ujście dla swoich uczuć i która często będzie matką, łącznie ze swojem dozorującą jeszcze inne dzieci, ale najemnica, gryząca w złości wędzidła przymusu, w których spędza młode lata życia. Gdy dziecko wyrośnie, zostaje wysłane do ogródka froeblowskiego, i znowu nie dlatego, aby matka nie miała czasu zająć się niem, ale ponieważ chce się zwolnić od wszelkiej troski. Szkoda wielka, że nauka nie wykryła dotąd sposobów, za pomocą których kobieta mogłaby być żoną i użytkować, z fizycznych przyjemności tego stanu, lecz jednocześnie nie piastować w swojem łonie niemowlęcia, tylko wynająć jakąś inną kobietę, przekazać jej poczęty u siebie płód z obowiązkiem noszenia go w ciągu dziewięciu miesięcy i wydania wreszcie na świat — za stosowną opłatą, a niekiedy po wyrzuceniu przez najmitkę własnego. Nie ulega wątpliwości, że panie ani chwili nie zawahałyby się w skorzystaniu z podobnych odkryć techniki... W takiej to atmosferze wyzucia się z obowiązków i przekazywania ich najmitom wzrastają, dojrzewają i starzeją się te nieliczne jednostki, które na przestrzeni Europy podnoszą sztandar feminizmu. A wśród tej garstki, zaiste znikomej w porównaniu z rozmiarami ludności, rej wodzi szczególna grupka osób. Kobiety głęboko uczuciowe, nadto posiadające krytyczniej ukształtowany mózg, znajdą — prędzej lub później — głębsze cele, niż uczestnictwo w sejmach i sejmikach damskich, a marząc o własnej indywidualności, zgoła nie wyzwolą się od obowiązków macierzyńskich i nie zastąpią własnego mleka wydzierżawionem na pewien przeciąg czasu. Zdrowa ich natura nie zadowoli się ćwiczeniem mięśni krtani i podniebienia, ale organizm ich zechce także, aby czuły usta dziecka u swoich piersi. Nie takie to typy przewodzą ruchowi emancypacyjnemu dam zamożnych. Na czele jego stoją przedewszystkiem przedstawicielki przekonań, że tak powiem, motorycznych. Motoryzm — to żądza ciągłej działalności, a w tym chorobliwym popędzie nie idzie o treść czynu, ale o to, żeby coś robić, wiele robić, z hałasem robić. Motoryczka jest dzisiaj, dajmy na to, anarchistką, jutro spirytystką, pojutrze pisze poezye i marzy o sławie literackiej albo układa traktat przeciwko poezyi, nagle staje się dewotką lub zakochaną w łydkach cyrkowego siłacza, a we wszystkich tych postaciach jest i pozostaje histeryczką. Wynaturzony ustrój nerwowy nie czuje potrzeby macierzyństwa, nie ma żadnych pragnień wywołania uśmiechu wewnętrznej radości na czyjeś usta, czuje jedynie parcie do jakiegoś czynu, jak wystawiony na słońce radiometr. Obok motoryczki porusza się inna postać. Pedantyczna umysłowo, bez żadne-

go polotu wyobraźni, ba, we wszelkiej wyobraźni widząca grzech, który woła o pomstę do nieba, tępa uczuciowo, bo niezdolna wznieść się po nad swoje własne „ja,“ pożerana drobiazgową ambicyjką, zupełnie utraciła świadomość, że przyroda stworzyła ją jako organizm kobiecy. W gruncie rzeczy jest ona rodzaju nijakiego, niby eunuchem niewieścim, którego do tego stanu doprowadziła nie jakaś operacya bolesna, lecz atrofia pewnych organów ciała. Za takiemi przewodniczkami sunie armia, śród której można spotkać kobiety zamężne od lat pięciu i dziesięciu — bezdzietne. Smutne to, a nawet wstrętne okazy. Twarz, przedwcześnie zwiędła, na policzkach i szyi zarysowują się silnie nabrzmiałe linie arteryj, zamiast zaokrąglonych członków spotykamy jakieś kanciaste i ostre kontury, a tej nabytej brzydoty nie maskują jakieś garby z ułożonych na ramieniu łachmanów i inne wybryki kunsztu krawieckiego. Czy organizm odmówił im posiadania dziecka? Bynajmniej — one to z własnej woli nie chcą go pieścić, nie chcą posiadać wrzeszczącego bębna! Można ubolewać nad kobietą, którą do takiej wstrzemięźliwości zmuszają względy materyalne, ale z innem uczuciem witamy spódniczki, które, aby sejmikować, dopuszczają się gwałtu na własnej naturze.

Czem staje się sprawa kobieca, powierzona takim dłoniom? Zdaje mi się, że słyszę czyjeś westchnienie: oby niebo zechciało mnie uwolnić od przyjaciół, bo z nieprzyjaciołmi sama dam sobie radę. Zdrowa kobieta powinna tak westchnąć na widok swojego sztabu. Świeżo opowiadano mi o szczególnym wybryku, mianowicie wyraz „kobieta“ ma zostać wykreślony ze słownika, a natomiast wpisany będzie inny — „człowiek.“ Nie powiedziano mi, co w tym razie stanie się z „mężczyzną,“ czy i on ma też zostać jedynie „człowiekiem,“ bo trudno przypuścić, aby go pozostawiono w spokoju i pozwolono naigrawać się z nowo stworzonego „człowieka.“ Niestety jednak, natura ludzka nie dba o to, jakie poprzylepiał ktoś na niej etykietki; nawet przy jednakowej nazwie jedni „ludzie“ będą bez wąsów, a inni z wąsami. Porzućmy jednak żarty. Anegdotka powyższa maluje dążności feministek, będące jedynie kornym i służalczym hołdem, złożonym mężczyźnie. Poddańczo wpatrują się w jego oblicze te duchowe odaliski, wymazują wyraz „kobieta,“ ażeby zasłonić swoją różnicę, za najwyższą pochwałę uważają, kiedy ktoś powie im, że mózg ich działa jak u mężczyzny, a ponieważ mężczyzna jest tak zorganizowany, że w swojem łonie nie potrzebuje nosić widzialnego dowodu mniej uchwytnych postępków, przeto gotowe są one przekląć tę chwilę, w której na globie ziemskim zamiast nijakich jednokomórkowych organizmów zjawiły się istoty płciowe. Równości z mężczyzną za wszelką cenę! Pod takim feminizmem ukrywa się istotny maskulinizm — już nie kult wąsów i łydek męzkich, ale kult spodni i tużurka, jako najprzedniejszego ubioru — patrz feministki amerykańskie.

Bezwzględna równość z mężczyzną! Atoli czy jest ona możliwą nawet w zakresie życia duchowego? I czy to o nią idzie w ruchu emancypacyjnym, zdrowej kobiety? Zaznaczmy naprzód, że bywają rozmaite równości. Świat mieszczański rozpanoszył się na gruzach feodalizmu wśród haseł równości, a w osobie krańcowych demokratów burżuazyjnego pokroju zaprzeczył nierówności fizyologicznej i duchowej, zepchnął do błota bohaterów i gotów na gilotynę wysłać każdego, kto głową swoją przerasta sąsiadów. A jednak nie znam nic nikczemniejszego nad ten szablon równości mieszczańskiej! Ludzie byli i są nierówni, posiadają różne uzdolnienia i odmienne potrzeby, a każdy normalny porządek rzeczy musi przyjąć za zasadniczą prawdę ów fakt nierówności i zamiast tandety jednoskalowej dbać o możność zaspokojenia wszystkich pragnień — nierównych. Niech społeczeństwo daje każdemu według jego potrzeb, a wymaga odeń stosownie do jego uzdolnień! Podobnie pomiędzy mężczyzną a kobietą istnieje głęboka przepaść. Organizm każdej płci posiada odmienne funkcye fizyologiczne, a ta różnica odbija się też prawdopodobnie i na umysłowości. A zatem czy równość jest zdrowym i pożytecznym ideałem ruchu emancypacyjnego — w dziedzinie idej i trybu życia? Jedynym godziwym celem jest tutaj równość dostępu do wszystkich źródeł indywidualnego szczęścia, zatem zupełna swoboda uczuć i zaspokojenie pragnień. Kobieta chce wiedzy — usuwajmy wszystkie przeszkody, stawiane jej przez filisteryzm; chce uczestniczyć w życiu publicznem — walczmy za tę zdrową a dzielną potrzebę jej umysłu; chce zająć to lub inne stanowisko lub obrać sobie jakiś zawód — umożliwijmy jej to! Co ona sprawi na obranem polu działalności, jakie owoce przyniesie jej praca umysłowa, to rzecz małej wagi, najważniejszem jest to, że rozwija swoją indywidualność i ma większą arenę do walki o swoje szczęście. Prawdopodobnem jest, że płody jej umysłowości odmienną będą posiadały barwę, ale to nie znaczy, aby koniecznie niższą. Matejko używa tych samych farb, co Siemiradzki, a przecie w jak niepodobne kombinacye układają się one pod pędzlem jednego i drugiego! Czy mamy wyrzec się któregoś z nich? Czy w jednym widzieć mistrza, w drugim nicość? Podobne sądy byłyby istotną niedorzecznością! Są oni różni w swojej duchowej naturze, a im więcej w społeczeństwie jest takich niejednakowych natur, tem tętno życia jest mocniejsze, tem możliwość szczęścia dla członków kraju znaczniejszą. Niech mężczyzna i kobieta czerpią z tych samych źródeł, niechaj, gdy zechcą, panują przy tym samym warsztacie, ale niech każdy osobnik z wosku społecznego lepi to, co najbardziej odpowiada jego instynktom bez bzdurnej chęci wydania tych samych rezultatów. Wątpię, czy ktoś z mężczyzn wyrzekłby się swojej męzkości, z wyjątkiem natur, które psychiatrya ochrzciła nazwą mózgów kobiecych w ciele mężczyzny. Po co kobieta ma postępować inaczej? Równość, wymarzona przez feministki, jest takim samym szablonem tandety, jakimi są nowe ulice w wielkich miastach, dzisiejszy strój. W niej ukrywa się zgwałcenie szczęścia kobiety i zatracenie jej indywidualności. Historyczne feministki z tamtej strony Atlantyku szablon ów doprowadziły do doskonałości — nawet przeniewierzyć się są gotowe tradycyjnej spódnicy, byleby jak najmniej różnić się od mężczyzny...

Na szczęście jednak podnosi głowę inny ruch kobiecy. Dzielna pionierka swobody niewieściej, pierwsza, która pod wpływem wymagań życia wstąpiła masowo na tę drogę, słowem prosta pracownica fizyczna głosi inne hasła. Chce ona wolności użycia, swobody uczuć, dostępu do wszystkich źródeł, które cywilizacya postawiła przed ludzką indywidualnością, ale wie też, że jest kobietą, jak mężczyzna — mężczyzną; że posiada organizm, dla którego trzeba zdrowia, żeby kilka razy w ciągu życia rozwijał się w nim płód, dla którego wysoką przyjemnością jest dotknięcie ust dziecka. Czuje ona bezwiednie, że nie zależy jej na tem, aby zrównała się z mężczyzną, lub on — z nią, lecz tylko żeby w niczem nie krępowano obojga. Miejmy nadzieję, że z pośród tej armii wyjdzie kobieta przyszłości!

K. R. Ż.

LIBERUM VETO.

Ci, których ustawicznie pokazujemy narodowi i ci, których nie pokazujemy. — Nowa epoka badań pierwotnego życia ludzkości. — Ich znaczenie historyczno-socyologiczne.—L. Krzywicki i warunki jego pracy. — „Ludy.“ — Wiadomości i wróżby. — Dobór jednostek uzdolnionych w społeczeństwie przyszłem. — Antropologia śród ogółu.

Przypuszczam, że abonenci pism obrazkowych, którzy oglądali w nich sto razy jakiegoś aktora, 50 razy jakiegoś troskliwego o swoje najrozmaitsze rocznice jubilata, 25 razy jakiegoś miewającego publiczne pogadanki „profesora,“ 10 razy Skublińską, pragnęliby widzieć sylwetkę tego lub owego badacza, poety, muzyka itd., który nie podsuwa się natrętnie oczom ludzkim, a jednakże nieraz stanowi w ukryciu pracującą potęgę. Cała np. Europa zajmuje się dziś Fr. Nietzschem, którego sława odbija się głośnemi echami i w naszej literaturze. Nie będę tu rozbierał przyczyn, dla których filozofia tego genialnego waryata tak przypadła do gustu chwili obecnej; zaznaczam tylko fakt, że ona wsiąka w jej grunt, opanowywa nawet umysły trzeźwe, czaruje i olśniewa wrażliwe. Jak dawniej wierzono w istnienie i czczono bohaterów mistycznych, tak teraz pragnienia zwróciły się w kierunku „nad-ludzi,“ postaci, które dostarczają wątku mitologii współczesnej, a może i przyszłej. Czytelnicy, przypatrujący się temu ruchowi, z pewnością byliby radzi wiedzieć, jak też wyglądał jego twórca — F. Nietzsche. Tymczasem ani jedno z pism naszych nie podało portretu słynnego apostoła. Tłoczą one bezustanku aktorów, śpiewaków, fortepianistów, wszelkich jubilatów, profesorów, a tłoczą tak zawzięcie, że już można ich wizerunki spotkać na parkanach rysowane kredą przez szewczyków. P. X. napisał farsę p. t. „Włos w nosie“ — trzeba pokazać jego oblicze narodowi; za pół roku napisał drugą p. t. „Włos w sosie“ — znowu trzeba pokazać jego oblicze narodowi; za trzy miesiące wypowiedział „prelekcyę“ p. t. „Włos w zupie“ — jeszcze raz trzeba pokazać jego oblicze narodowi. I tak bez końca, dopóki p. X. będzie zajmował się włosem na scenie lub katedrze. Natomiast gdyby opracował epokową fizyologię włosa — nie pokazanoby go narodowi.

Ponieważ tedy nie wszyscy, których fizyognomie maszyna drukarska tak starannie uwiecznia, warci są zużytego na tę operacyę smarowidła i ponieważ wielu niezaszczyconych nią ma prawo do szerokiego uznania, więc pozwalam sobie przedstawić nieco szczegółowiej czytelnikom *Prawdy* człowieka, który nigdy nie był i może nigdy nie będzie pokazywany narodowi, a jednakże zasługuje na bliższe poznanie. Od lat kilku drukujemy artykuły treści antropologicznej i socyologicznej, pisane dosyć ciężko, nieraz zawile, bez ozdób stylowych, bez płynnej potoczystości, ale znamionujące gruntowną wiedzę i oryginalność stanowiska, otwierającego całkiem nowe widnokręgi. Artykuły te wychodzą z pod pióra L. Krzywickiego. Już dotychczasowe jego prace naukowe, zwłaszcza zaś, oprócz drukowanych w *Prawdzie*, obszerna rozprawa o „Kurpiach“ w *Bibliotece warszawskiej* i książka p. t. *Ludy* wprowadziły do literatury naszej świeży, całkiem jej przedtem nieznany strumień faktów i ich objaśnień, a mamy nadzieję, że przyszłe, dla których zbiera materyały, dadzą nam znacznie więcej. Na czemże polega ich wartość? Nie myślmy, że po rozproszeniu rojeń Rousseau'a o raju ludów pierwotnych, antropologia, etnologia, etnografia, słowem nauka zajmująca się życiem ludów dzikich i barbarzyńskich weszła na tory

umiejętności ścisłej. Bynajmniej. Zmieniła się w niej tylko kanwa fantazyi. Z jednej strony utrzymywały się stare lub snuły nowe bajki, z drugiej — panowały nad umysłami sztuczne systematy, konstrukcye poglądów wyrabiane w gabinetach. Gdy zaś pod te budowle chciał podłożyć minę jakiś badacz, który sumiennie i w długiem obcowaniu z plemionami najniższej kultury zgromadził fakty przeczące „klasycznym,“ karano potępieniem lub... milczeniem zuchwałą rękę. Kiedy Morgan po kilkodziesięcioletniem przebywaniu śród indyan amerykańskich, wydał swą epokową pracę o „Społeczeństwie pierwotnem,“ długo wprost tajono jej istnienie, a nakładcy niemieccy i francuscy, którzy spieszą się z przekładem byle powieści lub podręcznika, nie chcieli jej wydać, ażeby nie zdyskredytować innych swoich książek tej treści, tak że pierwsze tłomaczenie dzieła Morgana wyszło dopiero w języku polskim. Jednakże popchnięta przez niego na inną kolej wiedza nie przestała się poruszać w tym kierunku. Za śladem Morgana poszedł cały szereg badaczów, którzy zmienili lub uzupełnili jego teoryę, a w każdym razie wydobyli na jaw masę faktów, burzących dotychczasowe mniemania o pierwotnej kulturze człowieka i rzucających nowe światło na dalsze okresy jej rozwoju. I na dalsze. Nie należy bowiem sądzić, ażeby ta gałąź wiedzy, którą nazywamy antropologią, etnologią i etnografią, zaznajamiała nas tylko z życiem ludów dzikich lub barbarzyńskich, owszem dostarcza ona nam kluczów do rozwiązania zagadek historyi i ustroju najbardziej ucywilizowanych. W tem właśnie spoczywa olbrzymia jej ważność i wpływ doniosły. Dziejopisarze nasi od wieków pasują się daremnie z trudnościami objaśnienia zawiązków społeczeństwa lechicko-polskiego i zasadniczych wiązań jego późniejszej budowy. Jeżeli kiedyś do tego przedmiotu zastosowane zostaną wskazówki i metoda, zdobyte przez obecną antropologię, mogą one doprowadzić do odkryć, których wcale nie przewidywaliśmy.

Na to płodne i wiele obiecujące pole pracy naukowej wszedł Krzywicki — o ile mi wiadomo — jedyny z polaków. Jego artykuły, które w *Prawdzie* drukowaliśmy, książka („Ludy“), którą obecnie wydał, są to niewątpliwie już bardzo poważne postępy studyów, ale stanowią pierwszy przygotowawczy okres badań. Dla zdobycia bogatszego materyału i zużytkowania go w szerszym zakresie powędrował teraz do Ameryki. Jakkolwiek zobowiązał się kilku pismom nadsyłać sprawozdania z Chicago i z pewnością wiele ciekawych rzeczy tam dostrzeże, nie należy go uważać za „delegowanego“ przez jakąś redakcyę korespondenta wystawowego. Ma on na widoku cel daleko ważniejszy. Pracując niedawno przez pół roku w bibliotece berlińskiej, przekonał się, że księgozbiory europejskie nie mogą dostarczyć antropo-etnologowi pożądanych źródeł, że w rozmaitych instytucyach amerykańskich kryją się niedochodzące do starego świata wydawnictwa, zawierające surowy, ale bardzo cenny materyał, bezpośrednio z życia zebrany, o który nam przedewszystkiem chodzić powinno. Często jakiś prowincyonalny dzienniczek, kalendarz, zbiór pieśni i legend, pozornie śmiecie, które nie bywa kupowane i przewożone do bibliotek Europy, kryje w sobie fakty pierwszorzędnej wartości. Krzywicki, który nie ufa często fałszywym lub zmyślonym dowodom autorów klasycznych, chce je zebrać na gruncie — pewne, niepodrobione i nieprzerobione — dlatego pojechał za ocean.

Ktoś gotów zazdrościć człowiekowi, który znajduje się w tak szczęśliwem położeniu, że może dogadzać swoim badawczym pragnieniom. Winienem tu podnieść zasłonę, która nam ukaże bardzo ciekawy i wymowny widok. Krzywicki jest biednym i pracuje w możliwie najcięższych warunkach materyalnych. Każda nabyta przezeń książka, każda kosztowniejsza podróż jest ofiarą z najniezbędniejszych potrzeb. Umie on jeździć na pokładzie statków lub w wagonach czwartej klasy, a jedynym wtedy jego zbytkiem jest mały taboręcik, który mu pozwala siedzieć. Nie dość tego. Żyje wraz z rodziną z zarobku literackiego. Przed każdym więc wyjazdem musi pomnożyć swą pracę dla wynagrodzenia straty czasu użytego na podróż, a nieraz pisze w wagonie lub na statku śród gwaru, niewygody i tysiąca przeszkód. Nigdy dobrowolnie nie próżnuje, prawie nie zna, co jest odpoczynek. Jeżeli w tej chwili wypływa z Hamburga lub Liverpoolu do New-Yorku, z pewnością już w porcie zasiada do pracy i z wyjątkiem snu nie przerwie jej aż wtedy, kiedy okręt przybije do brzegu amerykańskiego. Na to potrzeba nadzwyczajnej energii i wytrwałości, a kto nie robił prób w tym względzie i nie jest obznajmiony z naturą takich zajęć, ten nie może mieć najmniejszego pojęcia, ile one kosztują wysilku w podobnych warunkach. To nie robienie pończochy lub nawet rysowanie sylwetek, chociaż gdybyśmy komuś kazali w wagonie IV-ej klasy lub na pokładzie statku robić pończochę lub rysować sylwetki, nie bacząc na krzyk, tłok, kołysanie się, ból głowy, senność itd., po kilku godzinach zawołałby: miłosierdzia! Pracownik, zgwałcony koniecznościami życia, a przytem rozpłomieniony celem, który go podnieca, nie ma nad sobą litości. On tysiąc razy powie sobie: już nie mogę! — i tysiąc razy doda natychmiast: muszę. Muszę! och wy wszyscy pieszczochy losu, gdybyście wiedzieli, ile w tym jednym wyrazie mieści się bohaterstwa, wysiłków, walk, cierpień i tragedyi! I Krzywicki musi tak wytężać swą energię, gdyż inaczej nie mógłby pojechać do Ameryki na studya antropologiczne.

Jego ostatnia praca („Ludy“) powinna się znaleźć w ręku każdego, komu nie są obojętne sprawy i zagadnienia rozwoju ludzkości. Pierwsze jej rozdziały dają czytelnikowi gruntowny wykład przedmiotu, ostatnie przesuwają przed nim łańcuch kwestyj ogólnych i otwierają perspektywę przyszłości. Na końcowych stronicach autor stawia sobie do odpowiedzi trudne pytanie: czy istnieje sposób, zapomocą którego możnaby wszystkich członków społeczeństwa postawić na jednym, najwyższym poziomie uzdolnień? Nie osiągnie tego ani poprawa stosunków społecznych, ani podniesiona i rozszerzona oświata. Czy jednakże nie upoważnia do pewnej nadziei i nie udziela wskazówek metoda, wytwarzająca w roślinach i zwierzętach pożądane właściwości i uzdolnienia? Jeżeli przez odpowiednią hodowlę zmieniono budowę owiec lub ubarwienie kwiatów, dlaczego równych rezultatów nie możnaby osiągnąć z ludźmi? Zresztą częściowe próby z nimi już były dokonywane. Tak np. w Australii mężczyzni słabsi i kobiety kalekie stosowną operacyą pozbawiani byli możności wydawania potomstwa. I wogóle ludy barbarzyńskie przeprowadzają systematyczny dobór płciowy. „Gdyby ludzkość — powiada Krzywicki — zdołała urzeczywistnić taki dobór co do organu mózgowego drogą krzyżowania najdoskonalszych i powstrzymania od płodzenia potomstwa nieudolnych jednostek, zdobyłaby najpotężniejszy środek postępu antropologicznego, skuteczniejszy, niż wszelka oświata masowa, mająca wielkie znaczenie nie antropologiczne, lecz kulturalne. Właśnie przez uwzględnienie podobnych zasad zootechnika doszła do stworzenia zwierząt rasowych.“ Z tego stanowiska kreśli autor prawdopodobny obraz przyszłości, wielce odmienny od tegoczesnego. Kto ciekaw — niech zajrzy do książki, a niech mi wierzy, iż ona nie odstraszy go swą suchością. Takie uczucia budzi tylko nauka gabinetowa, oderwana od życia, zszywana sztucznie ze starych łachmanów i nowych skrawków wiedzy. Ta, która czerpie swój materyał z niezmąconych źródeł rzeczywistości, chociażby pozornie była całkiem wyosobiona z obrębu pojęć i potrzeb ogółu, ma z niemi bardzo blizki związek i wprowadza światło do zagadnień, obchodzących każdego człowieka. Antropologia—etnologia—etnografia—to była, dzięki rozmaitym specyalistom, wsuwającym światło nauki w najgłębsze kąty, mądrość niedostępna dla zwykłych śmiertelników. Teraz zaczyna ta mądrość wychodzić z gabinetów, tajemniczych sanktuaryów i bóżnic, wkracza na place publiczne, przemawia językiem powszechnie zrozumiałym, zabiera głos w sprawach najżywotniejszych. A jeżeli ona czyni to u nas, w znacznej części zawdzięczamy Krzywickiemu. Więc nie bierzcie mi za złe czytelnicy, że dziś pomówiłem z wami dłużej o jednym z „naszych... nieznanych.“

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Konwersya. Bardzo pomyślnie się rozwija bieg interesów konwersyi 5% listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem na 4½%. Dotąd zamieniono ogółem tych papierów na sumę 32 mil. rs., w tem $^3/_5$ listów wylosowanych do konwersyi, $^2/_3$ niewylosowanych. Wobec takiego stanu rzeczy prawdopodobnie przed upływem terminu oznaczonego (20 b. m.) skonwertowana będzie znacznie wyższa suma, niż pierwotnie wyznaczona 56 mil. rs. Niektórzy właściciele listów zastawnych, wylosowanych do amortyzacyi, wstrzymują się z zamianą z tem mylnem przekonaniem, że po upływie terminu, oznaczonego przez dyrekcyę Towarzystwa i syndykat konwersyjny, będą mogli papiery swoje zamienić z równą korzyścią. Wyrachowanie takie może ich wielce zawieść. Obecnie dyrekcya Główna Towarzystwa i wszystkie prawie domy bankowe, nawet nie należące do syndykatu konwersyjnego, w zamian za list zastawny 5% wylosowany dają 4½%, a nadto 1 rs. 50 kop. w gotówce. Będzie to trwało tylko do 20 b. m., poczem interesowani za list 5% wylosowany będą mogli otrzymywać tylko jego wartość nominalną, tj. 100 rs., gdyż po tym terminie Towarzystwo musi zamknąć rachunki z syndykatem konwersyjnym, następnie zaś żadnych już dopłat od dyrekcyi głównej nikt nie otrzyma. Obecnie giełda warszawska notuje kurs listów zastawnych 4½% po rs. 99,10 za 100 rs. nominalnych; właściciele tych papierów zatem otrzymują w zamian nowe listy 4½% wartości według kursu rs. 99 kop. 10 tudzież rs. 1 kop. 10 w gotówce, czyli 100 rs. 60 kop. Kto zechce zamienić po terminie oznaczonym, będzie miał straty 60 kop. na każdym liście. Gdyby do 20 b. m. nie przedstawiono listów zastawnych do konwersyi na sumę 56 milionów, straciliby na tem właściciele listów, tudzież Towarzystwo kredytowe, obowiązujące się w takim wypadku zapłacić syndykatowi wyższą prowizyę.

Wystawa wszechruska. Zjawiła się broszurka, nakreślająca plan urządzenia w Kijowie wszechruskiej stałej wystawy z oddziałami: syberyjskim, finlandzkim, kaukazkim, Królestwa Polskiego, słowiańskim i zagranicznym. Zadaniem Towarzystwa, urządzającego wystawę, będzie: popieranie rozwoju handlu i przemysłu wogóle, rozwoju i eksploatacyi bogactw mineralnych. Za urządzeniem tam wystawy przemawiają między innemi następujące względy: Kijów jest miastem środkowem dla całej Rosyi, z wyłączeniem jedynie Syberyi i Finlandyi, nadto blizkim jest krajów słowiańskich i państw obcych; ściąga do siebie corocznie około 160

tysięcy pielgrzymów, jest siedliskiem jarmarku, odbywającego się od lat stu pod nazwą „kontraktów.“

Syndykat naftowy. Przed paru miesiącami żywy niepokój śród spożywców obudziła wieść o tworzeniu się związku przemysłowców naftowych z zamiarem „uregulowania,“ czyli podniesienia cen. Obecnie coś się popsuło w tej solidarności wielkich przedsiębiorców, co również nie będzie obojętne dla spożywców. Według doniesień *Birż. Wied*, po podpisaniu 17 kwietnia umowy rejentalnej pomiędzy towarzystwem produkcyi naftowej braci Nobel, a towarzystwem rotszyldowskiem kaspijsko-czarnomorskiem, główne firmy w Baku, należące do syndykatu utworzonego przez Noblów w Rostowie nad Donem, zgłaszały się do tych ostatnich z oświadczeniem, że nie uznają za obowiązującą umowy zawartej pomiędzy braćmi Nobel a Rotschildem, wobec tego, iż głównym celem umowy poprzedniej było przeciwdziałanie operacyom towarzystwa kaspijsko-czarnomorskiego. Dwie firmy oznajmiły, że występują z syndykatu skutkiem naruszenia głównych podstaw związku przez firmę braci Nobel. Te same nie uczyniły zadość żądaniu dostarczenia do 20 kwietnia ścisłych cyfr, dotyczących produkcyi nafty. Jednocześnie umowa, zawarta pomiędzy firmami w dniu 17 kwietnia w Rostowie nad Donem, uważana jest obecnie za niemającą żadnego znaczenia.

— Ogłoszono, iż do stacyi kolei Dąbrowskiej: Kielce, Jędrzejów, Sędziszów, Miechów, Wolbrom, Sosnowice, Granica i Opoczno, mogą być nadsyłane transporty zboża, obciążone pożyczką. Wysyłający produkt do tych stacyi, może żądać od kolei przyjmującej towar, udzielenia pożyczki na rachunek Banku państwa. O przybyciu zboża, obciążonego pożyczką bankową stacye zawiadamiają natychmiast odbiorcę, który obowiązany jest towar zabrać i rachunek zalatwić w ciągu dni trzech. W przeciwnym razie ładunek może być sprzedany przez licytacyę publiczną.

— W Warszawie spaliła się fabryka lamp Serkowskiego przy ul. Nowolipie. Bez zajęcia pozostało 250 robotników.

— W Petersburgu tworzy się Towarzystwo rolników z kapitałem 300,000 rs. dla zawiązania i utrzymania bezpośrednich stosunków pomiędzy wytwórcami a nabywcami zboża.

— Ustawa Towarzystwa akcyjnego cukrowni „Brześć kujawski“ została na posiedzeniu komitetu ministrów przyjęta i jako założyciele zatwierdzeni: kupcy 1-ej gildyi w Łodzi: Wizbek i Herbst, szlachta: Dzierzbicki, Krzymuski (prezes warszawskiej dyrekcyi szczegółowej Tow. kred. ziem.) Rudnicki, tudzież kupiec II-ej gildyi we Włocławku Hack.

— Rada państwa wkrótce ma roztrząsać sprawę dozwolenia bankom miejskim udzielania krótkoterminowych pożyczek na zastaw kwitów towarowych kolei żelaznych świadczących o przyjęciu do ekspedycyi zboża, w stosunku 75% wartości towaru i otwierania rachunków bieżących na przechowanie zboża (w tym samym stosunku).

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W Łodzi otwarto stowarzyszenie wzajemnej pomocy majstrów fabrycznych.

— Rozpoczęło działalność Towarzystwo antropologiczne w Petersburgu, utworzone przy Akademii wojennej medycznej.

— Ministeryum spraw wewnętrznych poruszyło kwestyę ograniczenia żebractwa w większych miastach gubernialnych.

— Sprzedaż pojedynczych numerów gazety *Ruskaja žizń* została zabroniona.

— Wydano rozporządzenie o ustanowieniu posad weterynarzy w straży pogranicznej.

— W guberniach nadbałtyckich wkrótce skasowane będą komisye do spraw włościańskich, a natomiast powstaną oddzielne instytucye gubernialne, pod władzą gubernatorów.

— Nowe prawo o lichwie wzorowane jest na prawie austryackiem (z 19 lipca 1877 r.), węgierskiem (z 28 maja r. 1881) i niemieckiem (z 24 maja 1880 r.).

— W urzędach telegraficznych kobiety miały dotąd prawo w wypadku choroby do jednomiesięcznej pensyi. Obecnie przywilej ten rozszerzono do czterech miesięcy na równi z warunkami stosowanymi względem mężczyzn.

— Towarzystwo zaliczkowo-wkładowe w Wiskitkach dn. 1 stycznia r. b. liczyło 154 członków (o 11 mniej niż w r. z.) z kapitałem udziałowym 7,700 rs. Obrót kasowy w r. z. dosięgnął 220,000 rs.

— W zjeździe sędziów pokoju m. Warszawy sądzona była (26 kwietnia) sprawa księcia Wachwachowa, właściciela domu na Nowej Pradze, oskarżonego o niewykonanie rozporządzeń policyjnych. Chodziło o to iż właściciel, pomimo kilkakrotnego zwrócenia uwagi przez policyę nie chciał sprawić swemu stróżowi kożucha i butów wojłokowych. Sędzia pokoju skazał podsądnego na 25 rs. grzywny, albo zamknięcie w areszcie na tydzień. Zjazd sędziów pokoju wyrok ten uchylił i uwolnił podsądnego od wszelkiej odpowiedzialności.

— Sprawozdanie z dwunastoletniego istnienia Towarzystwa dobroczynności w Kaliszu nie wykazuje pomyślnego rozwoju tej instytucyi. W r. 1880 liczyła ona 362 członków rzeczywistych i ofiarodawców, w r. z. tylko 220. W r. 1880 ze składek i ofiar członków miała rs. 1,037, w r. z. — 1,121. Jednocześnie zmniejszyły się dochody z widowisk. Wobec tego Towarzystwo musiało ograniczyć wsparcia ubogim, chociaż liczba nędzarzy zwiększa się z każdym rokiem.

— Według sprawozdań urzędowych, zarobki dla ludności bezrolnej na prowincyi już się rozpoczęły, głównie przy naprawie dróg, mieszkańcy zaś powiatów pogranicznych znajdują zarobek w Prusach. Płaca dzienna średnio wynosi obecnie: dla mężczyzn 35—60 kop., dla kobiet 15—25.

— W gub. łomżyńskiej ruch emigracyjny do Ameryki zaczyna się wzmagać.

— Z powodu sporów, władza w wyjaśnieniu przepisów obowiązujących zawiadomiła fabrykantów, że umowy krótkoterminowe pomiędzy pracodawcami a pracownikami powinny być zawierane piśmiennie, a przynajmniej w obecności świadków.

— *Praw. Wiest.* ogłasza, iż poszukiwanie przez poddanych ruskich tytułów zaszczytnych, nadawanych przez monarchów zagranicznych, nie jest dozwolone, z wyjątkiem jedynie tych wypadków, kiedy to będzie czynione na zasadzie łaski Monarszej.

— Specyalna komisya, rozpatrująca z polecenia rządu sprawę koczowania cyganów śród ludności osiadłej, przyszła do wniosku, że jest ono bezwarunkowo szkodliwem. Dla zapobieżenia temu nadal, zaproponowano, aby nadać policyi władzę kasowania obozów cygańskich i odsyłania gromad wędrujących do miejsc urodzenia, jak się to dzieje z włóczęgami. Ministrowie spraw wewnętrznych i skarbu, podzielając pogląd komisyi, wnieśli do rady państwa projekt, na zasadzie którego ust. o zapob. przest. mogłaby być uzupełniona w sposób następujący: Cyganom bezwarunkowo niewolno koczować, zarówno w miejscach zamieszkania, jak i w innych miejscowościach Rosyi, tudzież urządzać namiotów, zakładać taborów, obozów i t. d. W razie przekraczania tych przepisów, wszelkie urządzone przez cyganów czasowe siedliska wraz z materyałem na nie użytym, ulegają zniszczeniu przez policyę. Cyganie zaś koczujący odsyłani będą do miejsca zamieszkania, bez prawa wydalania się stamtąd w ciągu lat dwóch.

— Zarząd kolei Nadwiślańskiej wydał rozporządzenie do wszystkich zawiadowców stacyi, aby uprzedzali wychodźców, udających się do Ameryki przez Prusy, że władze pruskie nie puszczają na terytoryum swoje emigrantów z Rosyi, nie zaopatrzonych w karty okrętowe kl. II. Ze względów bowiem zdrowotnych przejazd klasą III na statkach dla wychodźców tutejszych zniesiono. Z tego powodu prawie niema dnia, ażeby władze pruskie nie odstawiały z powrotem z Iłowa do Mławy emigrantów, nieodpowiadających powyższym wymaganiom.

Szkoły. *Praw. Wiest.* zamieścił przepisy o melamedach i szkołach żydowskich. Każda osoba, zajmująca się nauczaniem religii Mojżeszowej, czytania i pisania po żydowsku w szkole lub domach prywatnych, powinna posiadać specyalne świadectwa, wydawane na rok przez dyrektora lub inspektora szkół ludowych. Do tego egzamin nie jest potrzebny, natomiast konieczne jest przychylne zdanie władz administracyjnych o zachowaniu się i sposobie myślenia nauczyciela. Od tych świadectw powinna być pobierana opłata 1—3 rs. na rzecz funduszu edukacyjnego dla żydów.

— W ostatnich czasach z różnych stron żądano przepisu, aby chłopcy, którzy ukończyli szkoły ludowe, obowiązani byli do 16 roku życia uczęszczać do szkoły corocznie w ciągu 2—6 tygodni. Projekt ten ma być uwzględniony (*Rusk. žizń*).

— Ministeryum oświaty opracowało plan zreformowania Instytutu inspektorów okręgowych. Inspektorowie ci mają czuwać nad prowadzeniem wykładów w szkołach średnich i kontrolować nauczycieli.

— Drugie gimnazyum męzkie warszawskie w przyszłym roku szkolnym będzie miało wolne miejsca tylko w klasie wstępnej, 6-ej, 7-ej i 8-ej. Prośby składać można od 13 do 27 maja. Egzaminy wstępne 13 i 14 czerwca.

— W Grochowie pod Warszawą p. Zofia Stępkowska zakłada kursy gospodarstwa wiejskiego dla kobiet. Nauka będzie wyłącznie praktyczna.

Sprawy kolejowe. Sprawa połączenia koleją Taszkentu z Samarkandą ostatecznie jest postanowiona.

— Od 13 b. m. urządzona będzie bezpośrednia komunikacya pomiędzy Warszawą a Kielcami bez przesiadania się w Iwangrodzie.

— W ministeryum komunikacyi poruszono sprawę ujednostajnienia wysokości wynagrodzenia wszystkich urzędników na kolejach, według kategoryi urzędów.

— Z polecenia zarządu kolei Południowo-Zachodnich przeprowadzono szczegółowe studya nad wytknięciem projektowanej linii kolejowej dla połączenia Kijowa z Petersburgiem. Linia ta idzie wzdłuż prawego brzegu Dniepru, przecina Prypeć, przechodzi przez polesie mińskie, Berezynę dotyka Mohylowa, Szkłowa, Orszy, dalej kieruje się na Witebsk i przeciąwszy Dźwinę Zachodnią idzie prosto ku Petersburgowi. Długość projektowanej drogi wynosi 1,024 wiorst, czyli o 500 mniej niż odległość dzisiejsza. Koszt budowy obliczono na $55\frac{1}{2}$ mil. rs. Studyami kierował inżenier komunikacyi, K. Zawadzki.

— Rada państwa, zgodnie z projektem departamentu kolejowego, postanowiła: zezwolić na wszystkich, zarówno prywatnych, jak i skarbowych kolejach, oprócz pozostających w warunkach wyjątkowych odnóg i linii pomocniczych, na wprowadzenie następujących najwyższych norm opłaty taryfowej od towarów, przewożonych w pociągach o „małej szybkości“: $\frac{1}{4}$, $\frac{1}{10}$, $\frac{1}{12}$, $\frac{1}{15}$, $\frac{1}{18}$, $\frac{1}{21}$, $\frac{1}{30}$, $\frac{1}{45}$, $\frac{1}{55}$, $\frac{1}{65}$ i $\frac{1}{75}$ kop. od puda i wiorsty, z warunkiem, aby podział towarów na kategorye dokonany był przez radę taryfową. Jednocześnie ustanowiona będzie wspólna dla wszystkich kolei nomenklatura, której zmiana w przyszłości ma zależeć wyłącznie od postanowienia ministra skarbu.

— Zatwierdzono utworzenie towarzystwa kolei Eupatoryjskiej.

— Podczas sezonu kąpielowego w niedziele i święta tudzież w dni przedświąteczne kolej Wiedeńska wydawać będzie z Warszawy do Ciechocinka bilety powrotne po zniżonej o 30% cenie wszystkich trzech klas. Powracać należy w pierwszy dzień po niedzieli i święcie.

— Na drodze Petersbursko-Warszawskiej wkrótce wprowadzone będą wagony sypialne 3-ej klasy za dopłatą o połowę mniejszą niż w kl. 2-ej.

— Ogłoszono ulgi następujące: opłata za przyjazd pasażerów może być zniżona nie więcej nad 50%. Minister komunikacyi zezwala na przejazd z ulgami: urzędników kolei, osób urzędowych, będących na służbie przy kolejach, ich rodzin urzędników rządowych, których obowiązkiem jest kontrola i dozór nad kolejami, osób zaproszonych na drogi w szczególnych wypadkach, służby kolejowej, majstrów i robotników przy przewozie dla eksploatacyi lub robót około drogi. Rada do spraw taryfowych zezwoliła na zniżkę o 50% ogólnej taryfy pasażerskiej 3-ej klasy na wszystkich kolejach dla wychowańców wszystkich zakładów naukowych podczas wakacyi, jak również tych, którzy ukończyli kursy i jadą w rodzinne strony, wreszcie dla młodzieży, wstępującej do innych zakładów naukowych.

— Działalność kasy oszczędnościowo-zapomogowej pracowników kolei Nadwiślańskiej rozpoczęła się z dn. 1-ym maja r. b.

— Kolej Nadwiślańska wprowadza bilety abonamentowe i spacerowe z ustępstwem 30% (od 13 maja do 13 października).

Zdrowie publiczne. Oprócz zapowiedzianego w r. b. otwarcia nowego zakładu wodoleczniczego tudzież zaopatrzenia Ciechocinka kosztem rs. 20,000 w słodką wodę ze źródeł z pod Raciąża, projektowane jest znaczne powiększenie łazienek błotnych.

— Dyrektor departamentu lekarskiego zwrócił się do oberpolicmajstra m. Warszawy z prośbą o delegowanie 19-tu studentów medycyny 4 i 5 kursu do miej-

scowości nawiedzonych przez cholerę. (Astrachań, Tobolsk, Czelabińsk, Slewsk).

Bibliografia. Dr. M. Wołkowicz, *O wartości leczniczej salolu w biegunce cholerycznej*, str. 6, Warszawa.

— Dr. B. Gutenberg, *Nerwowość i małżeństwo*, przeł. dr. L. Wolberg, str. 40, Warszawa, Paprocki.

— *Biblioteka powszechna* w dalszych zeszytach zawiera, Cycerona *Leliusz czyli o przyjaźni*, tłom. E. Rykaczewski str. 63; P. Montegazzy *Wiek nerwowy*, tłom. J. Wollerner, str. 128; T. Szumskiego *Victoria*, powieść, str. 167. W. Kaczorowskiego *Poradnik dla tańczących*, str. 36, Warszawa, Paprocki.

— A. Pleszczyński, *Bojarzy międzyrzeccy*, studium etnograficzne, (Biblioteka „Wisły"), str. 226.

— J. Morosz, *Na scenie i za kulisami*, powieść, str. 212, Warszawa, Paprocki.

We wtorek dnia 2 maja została otwartą w salonach T. Z. S. P. **wystawa konkursowa** *Tygodnika ilustrowanego.*

Redakcya *Tygodnika ilustrowanego* przeznaczyła, jak wiadomo, dwie nagrody, mianowicie **rs. 500 i rs. 100** dla obrazu i rysunku, które zostaną odznaczone.

Czas trwania wystawy oznacza się do dnia 15 Czerwca.

Niezależnie od tego, że konkurs *Tygodnika ilustrowanego* zdołał zgromadzić niepraktykowaną na ostatnich konkursach T. Z. S. P. ilość utworów artystycznych, wystawa konkursowa tem więcej potrafi zainteresować publiczność, a w szczególności pp. Członków T. Z. S. P., że każdy zwiedzający wystawę członek będzie miał prawo głosować za jednym obrazem i rysunkiem, a otrzymujący największą ilość głosów obraz i rysunek pozyska nagrodę *Tygodnika ilustrowanego.*

Niepraktykowany ten u nas a wysoce oryginalny i cieszący się ostatnio wielkiem powodzeniem na wystawie Chełmońskiego w Londynie sposób głosowania, zaciekawił, o ile nam wiadomo, szerokie koła naszego miasta.

Nie ulega kwestyi, że wystawa konkursowa *Tygodnika ilustrowanego* będzie licznie odwiedzaną.

Spółka Nakładowa zniżyła ceny niektórych swoich wydawnictw dla abonentów Prawdy. Mianowicie odtąd kosztować będzie:

J. Brandesa **Literatura romantyczna we Francyi (Głównych prądów** tom V) rs. 1.50.
P. Chmielowskiego **Autorki** — rs. 2.
H. Heinego, **Wybór pism**, t. I — k. 60.
„ „ „ t. II — rs. 1.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Апрѣля 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.